

PRZEZ BOJE, PRZEZ ZNOJE, PRZEZ TRUD-KOMBATANCKIE LOSY

TADEUSZ GARDZIEJEWSKI



WSPOMNIENIA

*Spisane
w czasie od listopada 1987
do maja 1988 roku*



Urodziłem się w 1919 roku w królewskim mieście Kut, najbardziej na południe wysuniętym miasteczku w Polsce. Może po raz pierwszy od czasów Jagiellonów przeszły Kut do historii, w tragicznym wrześniu 1939 roku. Był to jeden z punktów, gdzie wojsko, urzędy, władze przechodziły przez granicę do Rumunii. Polacy byli tu w mniejszości. Ormianie byli burmistrzami tego miasta i stanowili, po Żydach i Ukraińcach, trzecią grupę. Polacy byli na szarym końcu.

Mój ojciec był sędzią w tym miasteczku. Miałem troje rodzeństwa. Ja byłem najmłodszy. W domu rodzicielskim panowała surowa etykieta. Nikt nie ośmielił się podnieść łyżki do ust, nim matka nie usiadła do stołu. Trzeba było wyrazić komplement, że smakuje lub w ogóle nic nie mówić.

Uczęszczałem do gimnazjum, które mieściło się w oddalonej o 42 km Kołomyi. Mieszkałem tam w bursie (internacie) i mimo tęsknoty tylko na wielkie Święta przyjeżdżało się do domu, do Kut. Dyscyplina w bursie była drakońska. Bicie w skórę, zamykanie do oddzielnego pokoju, tzw. karcer, były na porządku dziennym. To spartańskie wychowanie wywarło zapewne duży wpływ na dalsze koleje mojego losu. Przynależność wojskowa, harcerstwo, obóz i przede wszystkim stałe obcowanie z rówieśnikami, w dużej mierze pomogło mi później w zrozumieniu koleżeństwa w zbiorowości, w wojsku. Nie powiem, że bym nie lubił wojska, ale też nigdy mi to wojsko nie imponowało. Nigdy się wtedy człowiek nie spodziewał, że dobrych parę lat będzie musiał w tym mundurze spędzić.

Później przyszła matura. Zdawałem przedostatnią maturę starego typu przed reformą Jędrzejowicza, która stworzyła szkoły gimnazjalne i licealne różnych typów. Poszedłem na uniwersytet zgodnie z życzeniem ojca, na prawo, choć ciągnęło mnie zawsze do medycyny. Zamierzałem ją studiować po skończeniu prawa, zgodnie z sugestią ojca.

Należałem do Legii Akademickiej. Mundur miało się w domu przez cały czas. Jeśli ktoś odbył służbę w Legii i uzyskał stopień, to ten stopień był później w wojsku respektowany. Raz w tygodniu było się właściwie skoszarowanym. Zamiast na wykłady szło się na zbiórkę, na ćwiczenia wojskowe. W tym dniu wolno było chodzić w mundurze cały dzień.

W 1939 roku po ukończeniu 2-go roku prawa, byliśmy na wakacjach, w naprężeniu wysłuchując komunikatów radiowych. Mówiło się o częściowej mobilizacji. Sporo było fanfaronady. Mówiło się, że następny walczyk - w Berlinie. Ojciec częściej chodził po godzinach pracy do sądu, gdyż oczekiwał polecenia otwarcia zabezpieczonych, ściśle tajnych akt z plakatami mobilizacyjnymi. Aż wreszcie zauważyłem jak policjant wywieszał je na starym dębie. Brat mój, starszy o cztery lata, który był oficerem rezerwy został powołany do wojska. Słuchało się komunikatów radiowych, próbowano się coś z tego wyłowić. Byłem święcie przekonany, że Legia Akademicka będzie zmobilizowana. Miałem motocykl służbowy, pojechałem do Lwowa po to tylko, aby się dowiedzieć, że Legia nie będzie zmobilizowana. Nie pozostawało mi nic innego jak wrócić do Kut. Dopiero później zdałem sobie sprawę jak niebezpieczna była to eskapada, bo Ukraińcy byli już niespokojni. Przy dobrej znajomości języka ukraińskiego udało mi się bezpiecznie dojechać do domu.

Zbliżał się 17 września. Już około 15 września mniejsze kolumny wojskowe zaczęły dochodzić do Kut. Główne kolumny szły jednak na Zaleszczyki. Innym punktem przejścia był Śniatyn. W końcu przyszła kolej i na Kut. Przez, zbudowany przez saperów, most na Prucie posuwał się nieprzerwany łańcuch samochodów. Powołali mnie do Obrony Narodowej. Dostaliśmy biało-czerwone opaski, także stare, austriackie, przysłowiowe manlichery, do których, zresztą, nie było amunicji. Zostaliśmy przeznaczeni do wzmocnienia Straży Granicznej. Do dziś dnia nie mam zielonego pojęcia na czym miało polegać to wzmocnienie. Zawodowa Straż Graniczna nie mogła opanować przemytników. Zresztą przemytnicy odegrali później ważną rolę w przeprowadzaniu przez granicę. Zaczęły się wycofywać oddziały wojskowe. Najpierw przekraczało przez most lotnictwo, w bardzo regularnych, zdyscyplinowanych oddziałach. Użyto nas do regulacji ruchu. Dostałem posterunek na skrzyżowaniu dwóch dróg. Jedna szła z północy z Kosowa a druga ze Śniatynia. Nadjechał oddział pod dowództwem kapitana rezerwy w sile, może kompanii, z łażkami, ciężarowymi samochodami, działkiem przeciwpancernym i karabinami maszynowymi. Naprzeciw mojego domu zaciągnęli placówkę. Kapitan zapowiedział, że bolszewicy tu nie wejdą, że on będzie bronił tego przyczółka. Zaciągnął placówki na drogach wiodących do miasta. Wśród ludzi zapanowała panika. Burmistrz poprosił ojca, aby kapitanowi wyperswadować, że wojny nie wygra. Dochodziły wieści z Kosowa, że Rosjanie już tam są. Kapitan zaczął się obcesowo i arogancko zachowywać. Matka była bardzo podenerwowana. Nastąpiła konfrontacja między ojcem a kapitanem. Tymczasem w odległości 3 km od miasta pokazała się już kolumna czołgów sowieckich. Kapitan zwinął placówkę i odjechał na most. Do miasta wtoczył się pierwszy sowiecki czołg. Naprzeciw niemu wyjechał łażak z oddziału naszego kapitana. Z miejsca zakręcili w kierunku mostu i wtedy z czołga poszły dwie serie z karabinu maszynowego. Sowiecki żołnierz wyciągnął z kieszeni zabitego podchorążego dokumenty. Okazało się, że był to Tadeusz Dołęga Mostowicz. I wbrew wszystkim relacjom o tym jak zginął pisarz, byłem naocznym świadkiem, jak naprawdę zginął. Widzieliśmy jego portfel. Był w nim niezrealizowany czek z "ROJU" za "Pamiętnik Pani Hanki"- jego przedostatniej powieści. Jurek Horodwiński postarał się, aby urządzić przyzwoitv poarzeb. Rodzina ormiańska

Manugiewiczów miała niewykorzystany jeszcze grobowiec i wyraziła zgodę na pochowanie w nim Mostowicza.

W tym samym dniu miejscowi komuniści, przeważnie Żydzi z Bund'u (skrajnie lewicowej organizacji żydowskiej) i Ukraińcy oficjalnie witali wkraczającą Czerwoną Armię. Naprędce zbudowali trybunę na rynku i dla udekorowania jej zabrali z budynku "Sokoła" duży kilim z polskim orłem. Na trybunie przemawiał magister praw Krumholz, syn karczmarza. Ojciec błagał syna, aby nie przemawiał. Gdy to nie pomogło, rzucił rytualną klątwę na niego. Przeżywał to tak mocno, że dostał ataku serca i zmarł na miejscu. Odbył się manifestacyjny pogrzeb ojca. Kahał żydowski nie chciał dopuścić, aby później, na tym samym cmentarzu, pochować syna.

Za dwa dni aresztowali ojca. Zabrali go z budynku Sądu. W przeciągu 4-ech godzin miejscowa ludność zebrała blisko 4 000 podpisów na petycji o zwolnienie ojca. Sowieci zgodzili się, ale zakwalifikowali nas do kategorii paszportowej numer 111. Oznaczało to, że uznali nas za "niebezpieczny społecznie element", który nie może mieszkać w 100 kilometrowym pasie przygranicznym, ani w miastach wojewódzkich. W przeciągu trzech dni kazali nam wynieść się z domu i zlikwidować wszystko. Znajomy Hucuł zabrał część rzeczy do siebie na "przechowanie" i dał nam wóz, którym pojechaliśmy do Trembowli, do mojej siostry-nauczycielki.

Szybko skończyły się zapasy żywności. Matka zaczęła liczyć kartofle do garnka. Była już jesień. Z kolegami z gimnazjum wybraliśmy się na kopanie kartofli. Później chodziło się do lasu wycinać gałęzie. Mieliśmy więc drzewo, a z opałem na Podolu jest bardzo trudno. Zaczęliśmy wymieniać. Za furę gałęzi dostawało się pół prosiaka. Potem pracowałem w kamieniołomach i przy budowie drogi do lotniska. Była to praca akordowa i dobrze płatna.

Brat, który został ranny w walkach pod Zamościem i dostał się do niewoli niemieckiej, uciekł z transportu i wrócił do Lwowa. Razem z nim zapisałem się na przyspieszony kurs prawa po ukraińsku. Tak przeszła zima. W jesieni w październiku 1940-go roku zaczęły się rozchodzić pogłoski, że roczniki 1917-ty i 1918-ty pójdą do wojska. Pierwszy pobór wracał wkrótce jako bataliony robocze, które pracowały nad umocnieniem linii Sanu. Nie byli nawet umundurowani. Mnie zabrano w maju 1941-go roku. Pamiętam rozmowę poważną z ojcem. "Wiesz co synu - mówił – masz do wyboru więzienie albo to wojsko. Wolałbym cię widzieć w więzieniu niż w mundurze sowieckim z gwiazdą. Jednak więzienie w ustroju sowieckim to nic przyjemnego".

Stanąłem przed Komisją Poborową. Przy stole siedziało 12 osób. Trzy albo cztery niewiasty. Po pobieżnych oględzinach lekarskich stawało się przed elegancko nakrytym stołem z marszczonymi czerwonymi flagami. Naczelnik zapytał mnie czy chcę dostąpić zaszczytu służenia w armii robotniczo-chłopskiej. Odpowiedziałem, że absolutnie nie, bo wyrosłem i wychowałem się w systemie burżuazyjnym. Państwo sowieckie określiło nas jako "niebezpieczny element społeczny", nie pozwala nam zamieszkiwać w pasie przygranicznym, nie ma do nas zaufania, jak więc możecie mnie brać do wojska ? Zapanowała konsternacja. Byłem przekonany, że po tym odezwaniu, nikt ze mną nie będzie gadał, tylko wsadzą mnie do więzienia. Tymczasem wstał naczelnik komisii i mówi "Wot panrawił sie mnie

molodiec (Podoba mi się chłopak)". Nie należy do tych, którzy przedtem krzyčili "niech żyje Piłsudski " a teraz krzyczą "niech żyje Krasna Armia". Dla nas najważniejsze, że mówi co myśli. Pójdiesz do wojska, zobaczysz jak u nas jest. Po odbytej służbie wojskowej nie tylko skreśli się ten fatalny paragraf dla ciebie, ale i dla całej rodziny". Jego opinia została wpisana do pierwszego dokumentu jako adnotacja. I z tym pojechałem do wojska. Nie bardzo sobie zdawałem sprawę w co wchodziłem. Trochę to zakrawało na przygodę, było się młodym, i wcale się tym nie martwiłem. Ojciec się z tym pogodził. Sam był wojskowym - oficerem w armii austriackiej, który potem wstąpił do Hallerczyków. Przykazywał mi, że w wojsku przede wszystkim musisz mieć czysty karabin. Wystrugał mi z drzewa przyrząd do czyszczenia, zapakował do pudełka od cygar, dołożył do tego flanelowe paski do czyszczenia karabinu. Okazało się później, że przy zdawaniu osobistych rzeczy, które skrupulatnie spisywali, starszyna zawołał starszego kapitana i pyta się mnie, co to jest ? Odpowiedziałem, że są to przybory, które dał mi ojciec, abym miał czym porządnie czyścić karabin. Kapitan zarządził zbiórkę kompanii i pokazał wszystkim w jakie to przybory wyekwipował ojciec syna do wojska. I to znów zostało wpisane do ewidencji osobistej. Dostałem 300 rubli za to, że tak dobrze zostałem wyekwipowany do wojska.

Zawieziono nas w końcu na Kaukaz do Ordżonikidze nad Terekiem. Oddziały nasze były klasyfikowane jako wojska tropikalne. Mieliśmy kapelusze z celty nazywane oficjalnie "panama". Szkolenie w armii było bardzo wyczerpujące. Po porannej gimnastyce trwającej 20 minut czuło się już zupełnie zmęczonym. Następował poranny przegląd. Jest to chyba jedyna w świecie armia na świecie, która w regulaminie służby wewnętrznej ma specjalny rozdział poświęcony wszom. Regulamin powiada, że codziennie po gimnastyce trzeba zdjąć płócienną koszulę i drużynowy ma sprawdzić, czy nie ma wszy. Jeśli znajdzie, wtedy cały oddział idzie do łaźni, do "woszobojnici" (odwyszawiania). Latrynę używało się prawie na komendę. Musiało się przyzwyczaić organizm do reguły. Nauka śpiewu, była częścią współzawodnictwa między oddziałami. Wojsko w lecie stało w obozach budowanych według jednego planu. Porządek dzienny w szkoleniu był bardzo przeładowany. Pod koniec dnia człowiek był zupełnie wykończony. Wieczorem sprawdzano obecność.

Szkolenie nastawione było przede wszystkim na wyrobienie automatyzmu działania. Na komendę trzeba było np. odpiąć ładownicę, otworzyć zamek w karabinie, włożyć magazynek z dziesięcioma nabojami, postawić celownik, złożyć się do strzału i nacisnąć język spustowy. Na to wszystko było przeznaczone 3 sekundy. Na początku wydawało się, że to niemożliwe, potem doszło się do takiej wprawy, że w przepisany czas wystarczało jeszcze na podrapanie się po nosie. Podobnie było z zawijaniem onucy. Na początku owijacze nie chciały się trzymać na nodze, potem już trzymały się dobrze. Zgodnie z zasadą Suworowa, którą Krasna Armia przejęła bez żadnych zastrzeżeń, "im więcej potu na ćwiczeniach tym mniej krwi w walce." Trzymali się tego ściśle. Dowódca pułku np. wyjeżdżał konno sprawdzać, czy na koszulach powracających z ćwiczeń żołnierzy są białe kontury z potu. Rzadko która armia w świecie mogła tak konsekwentnie wydusić wszystko z człowieka. Bardzo wyczerpujące były np. biegi w maskach gazowych. Gdy wybuchła wojna, Stalin nakazał, aby w trzy miesiące wyćwiczyć rekruta na żołnierza liniowego. Szkolenie trwało 16-cie godzin na dobę.

System wymagał kradzieży, aby mieć kompletny sprzęt. Pamiętam, gdy ukradli mi maskę gazową, przełożony, do którego się zwróciłem, wyraźnie powiedział mi: "twoja rzecz, abyś miał, co trzeba". To się nazywało zaradnością żołnierza.

W oddziałach znajdował się konglomerat różnych narodowości. Jako Polak z Zachodniej Ukrainy byłem między nimi typem egzotycznym. Niewielu było w oddziałach takich, którzy byli na Zachodzie a wszyscy byli niezmiernie ciekawi jak się tam żyje. Informacje, które uzyskiwali ode mnie nie zawsze się pokrywały z oficjalną wersją, podawaną im na szkoleniu.

W szkoleniu był podwójny zestaw oficerów. Jedni szkolili wojskowo drudzy politycznie ("politruk"). Ci polityczni przechodzili specjalne szkolenie po kończeniu szkoły oficerskiej. Politrucy prowadzili zajęcia codziennie. Na zajęciach politycznych prowadzono intensywną agitację antyreligijną. Na jednym z wykładów, politruk wysiłał się, aby udowodnić, że np. przeżegnanie chmury gradowej ikoną, aby ją odwrócić, to zabobony. Zwrócił się do mnie i zapytał, czy wierzę w to co on mówi. Odpowiedziałem mu, że się z nim w zupełności zgadzam ale dziwię się, że on powtarza to, co mówi każdy szanujący się pop. To są zabobony, które nie mają nic wspólnego z wiarą, która zawsze starała się wykorzenić takie zabobony. Nie mógł się nadziwić, że ja "wykształcony człowiek, a wierzy". Powołałem się na sowiecką konstytucję, która zapewnia każdemu człowiekowi wolność jego przekonań. Odciął się, że jeszcze porozmawiamy na te tematy. Na szkoleniu politrucy przekonywali, że żołnierz sowiecki rozumie potrzebę dyscypliny, natomiast w armiach zachodnich panowała dyscyplina wdrażana pałką. W tych armiach kapral był specjalną szarżą po to, aby bić pałką żołnierza, który nie wykonuje rozkazu. Dlatego we wszystkich przesłuchaniach należało unikać przyznania się do tego, że się jest kapralem.

Po wybuchu wojny z Niemcami odczytywano rozkaz Stalina. Przychodziły nowe pieśni z Moskwy, początkowo buńczuczne. Potem, gdy masowo poddawały się oddziały sowieckie ogłoszono zaoczny wyrok śmierci na 23 generałów z Własowem, za zdradę Ojczyzny. Zintensyfikowano szkolenie, które szło w kierunku wytworzenia wytrzymałości żołnierza i wypracowanie automatyzmu, aby żołnierz czuł się nieswojo np. bez karabinu. Ponieważ dostałem zaprawę w Legii Akademickiej i Przystosowaniu Wojskowym, nie miałem z tym większych trudności. Lubiłem strzelać i dobrze strzelałem. Przynosiło mi to dodatkowe dochody przy przestrzeliwaniu karabinów, co było funkcją płatną. Zarobiłem wtedy sporo pieniędzy, z górą 3000 rubli. Ponadto zwalniano mnie od innych ćwiczeń. Osiągałem dobre wyniki w tzw. strzelaniu aplikacyjnym. Strzelaliśmy m.in. ze starego Maxima, którego dobrze znałem z Przystosowania Wojskowego. Strzelający nie wiedział, które tarcze i na jakiej odległości miały się pokazać. Dobrze mi się strzelało i po kilku seriach ostatnia tarcza upadła. Pułkownik nakazał przerwać strzelanie i zarządził zbiórkę batalionu w czworoboku, oficerowie przed frontem. Wywołał mnie do środka czworoboku i wypowiedział regulaminową formułę podziękowania za dobre strzelanie. Regulaminowo powinno się w takim wypadku odpowiedzieć: "Służu sowieckemu sojuzowi" (służę Związkowi Sowieckiemu). Przeszły mnie ciarki i postanowiłem, że tego nie powiem. Nastąpił nieprzyjemny moment, cisza. I przychodzi nagle olśnienie. Przypomniało mi się jedno z ostatnio lansowanych haseł. Ryknąłem donośnym głosem: "Służę wspólnej sprawie rozgromienia faszyzmu". Pułkownik zaszalutował, uśmiechnął się i nakazał rozejść się. Politrukowi wytłumaczyłem, że miałem treme i zapomniałem właściwej formuły. Nie uwierzył -

zrozumiał.

Aby wzmocnić oddziaływanie ideologiczne na żołnierzy, przysłano do oddziałów świeżo zmobilizowanych, tzw. "politbojcow". Byli to często młodzi studenci w wieku przedpoborowym. Po przejściu odpowiedniego przeszkolenia, ich zadaniem było pomagać w uświadomieniu żołnierza. Wykorzystywali każdą wolną chwilę aby wyjąć z maski gazowej jakąś gazetę i cytowali z niej ostatnie wypowiedzi towarzysza Stalina. Nie cieszyli się sympatią żołnierzy, którym zabierali każdą wolną chwilę, którą można było lepiej wykorzystać na wypalenie machorki. Obrzucano ich obraźliwymi epitetami, mimo, iż w sowieckiej armii formalnie jest to zakazane. Żołnierze mieli jednak cały słownik zastępczych słów. Nikt się nie mógł do nich przyczepić, ale wiadomo było, co to znaczy. Pewnego razu, na ćwiczeniach w rzucaniu granatów, taki młody, nowoprzybyły "politbojec" zainteresował się mną, słysząc moje imię powtarzane wielokrotnie w oddziale. Dowiedział się, że jestem Polakiem z Zachodniej Ukrainy. "Po co jego tu karmią - wyraził się - i tak przy pierwszej okazji, podczas pierwszego patrolu - pójdzie do Niemców ". Słyszałem to, siedząc na boku, po wyrzuceniu swoich, obowiązkowych, sześciu granatów. Pomyślałem sobie, że to nie dobrze, jeśli "politbojec" ma taką o mnie opinię. Zastosowałem więc ich metodę. Podszedłem do "politbojca" i mówię mu: "Towarzyszu, ja jestem ten Tadia, o którym ty przed chwilą mówiłeś. Gdy wyjdziemy stąd, pójdiesz do politruka i zameldujesz mu to, coś przed chwilą kolegom o mnie powiedział." Zaczął się tłumaczyć, że on to tylko tak powiedział. Zagroziłem mu, że jeśli nie pójdzie, stawi mnie w nieprzyjemnej sytuacji, bo będę musiał sam pójść. Powiedziałem mu także, że pójdę z nim, aby usłyszeć czy on to dobrze zamelduje. Poszedł w końcu ze mną do politruka roty. Politruk przyjął jego relację do wiadomości i rozkazał odejść. Wróciliśmy z ćwiczeń do koszar. Okazało się, że łóżko tego żołnierza było zwinięte, rzeczy spakowane. Przestał istnieć w kompanii. Nie dowiedziałem się co się z nim potem stało i dokąd poszedł. Kiedyś później politruk wspomniał, że zrobiłem, co należało. Do dziś nie wiem, czy postąpiłem właściwie.

W oddziale dobrała się nas piątka, która stanowiła zgraną grupę. Jeden z nich, Polak, urodzony w Rosji, nazywał się Kazimierz Świeczyński z Mińska. Matka jego była nauczycielką, a on umiał po polsku tylko "Powrót Taty". Był bardzo negatywnie nastawiony do systemu komunistycznego. Miał piękny głos i był dobrze zbudowany. Drugi z paczki, Bohaczenko, był Ukraińcem. W cywilu był kierownikiem drużyny ratunkowej na górze Kazbek na Kaukazie. Inny, Koloskow, był wykładowcą literatury rosyjskiej w szkole średniej. Z dużą przyjemnością chodziłem z nim na patrole i na ronty. Potrafił godzinami cytować Lermontowa a później, gdy już nabrał do mnie zaufania, Jesienina. Tych trzech dokładnie pamiętam. Potem był jeden z niemieckiej republiki z nad Wołgi, Ewert. Ciekawy typ. Znałem trochę język niemiecki z gimnazjum. Ewert mówił takim samym niemieckim, jakiego nas uczono w szkole. Potem go zabrali. Nie poszedł z nami na front, bo Niemcom nie dowierzali. Rzeczą specyficzną dla sowieckiej armii jest to, że zespół instruktorów który prowadził szkolenie nie wyjeżdża razem z jednostką na front. Wszyscy pozostają dla szkolenia następnych grup. To ma swoje dobre strony. Likwiduje to automatycznie tarcia jakie mogłyby się wytworzyć między instruktorami a żołnierzami. Batalion przyjeżdżający na front otrzymuje całkowity nowy zespół dowódców na wszystkich szczeblach.

Pierwszym moim przydziałem do jednostki frontowej był 101-szy pułk piechoty

obrony wybrzeża morskiego. Podlegaliśmy marynarce. Przerzucili nas do Krasnodaru, tam wyposażyli nas w zupełnie nowe umundurowanie. Zaczęli nas lepiej karmić według norm frontowych. Czekano się w napięciu. Trzymaliśmy się znów razem w naszej starej paczce. (Ewerta zabrakło). Pozwolili nam zbudować swoją ziemiankę. Bohaczenko miał w tym duże doświadczenie. Pewnego razu, zauważył bale białego płótna koło ładujących się wagonów odjeżdżającego oddziału, wziął je na plecy i przyniósł do ziemianki. Bale takie używano do sygnalizacji na lotniskach. Później za to płótno wymieniało się od miejscowej ludności żywność.

Kwestionowałem ten sposób zaopatrzenia. Bohaczenko wyśmiał mnie mówiąc, że zachowuję się jak dziecko, że jeszcze nie nauczyłem się, jak trzeba się zachowywać w armii. Uważali, że i ja muszę dostać swoją "dole". Innym razem moja paczka zdobyła cały pęk skórzanych wyściółek do butów, wyrzucając je przez otwór w dachu wagonu.

Wreszcie wyjechaliśmy do Woroszyłgradu. Nasz pułk był przeznaczony do ewakuacji ludności z miasta. Okazało się, że ludność ukraińska witała Niemców jako wybawców, mając nadzieję, że Niemcy oswobodzą i zbudują Ukrainę. Wtedy władze wydały rozkaz, aby zdecydowanie usunąć całą ludność pozostawiając przysłowiowe "niebo i ziemię". Z Bohaczenką, jako dowódcą patrolu poszliśmy na ulicę Krasnomajską. Mieszkała tam sama śmietanka komunistów. Opowiadałem im poprzednio jak wyglądało wysiedlanie Polaków. Teraz mieliśmy okazję rewanżu. Przychodziło się do mieszkania: Dawano się rozkaz "Sobiratsia z wieszczami ! (Zabierać się z rzeczami)" i trzy godziny czasu na zapakowanie. Wolno zabrać tylko niezbędne rzeczy. Ludzie opierali się temu rozkazowi, tłumaczyli, że są ważnymi członkami partii itp. Nic nie pomagało. Żadnych dyskusji. Koledzy z paczki myśleli, że mi to sprawi specjalną przyjemność odegrać się za nasze wywózki. Nie powiem, żeby tak było. Lęk, rozterka ludzi brutalnie wyrzucanych, były takie same, jak to pamiętam z Polski. Nikt nie wiedział, kiedy wróci. Po dopilnowaniu ewakuacji oddział się wycofywał, zostawiał tylko gońca do następnego oddziału.

Front się zbliżał. Na stepach donieckich zaczęła się zima. Weszliśmy do akcji na 4-tym froncie ukraińskim. Byliśmy dobrze wyposażeni na zimę. Ciepła bielizna, rękawice, dobre czapki na uszy. Sowietci czekali na tę zimę. Po napoleońskiej wyprawie na Moskwę pozostało powiedzenie, że nie Kutuzow, ale Generał Moroz pobił Francuzów. Istotnie Niemcy słabo byli przygotowani na nadchodzącą zimę.

Nigdy nie zapomnę pierwszego zetknięcia się z nieprzyjacielem. Dojeżdżaliśmy do frontu transportem kolejowym. Stacja nazywała się Lichaja. Cała była zavalona wojskowymi transportami. Nadleciały niemieckie samoloty. Samotna stacja w stepie była idealnym celem dla nich. Zaczęły spadać bomby. Pierwsze trafiły w wagony z końmi. Z wyciem nurkujących samolotów mieszał się kwik przerażonych koni. Był rozkaz, aby nie odbiegać od wagonów, ale siedzieć albo w pociągu, albo pod pociągiem. Człowiek instynktownie wciskał się w ziemię. Bomby zaczęły trafiać wagony z amunicją. Wyglądało to jak na festynie ogni sztucznych. I wtedy zawołał mnie Bohaczenko i zaprowadził do jednego z rozbitych wagonów. Zaleciało wódką. Wyciągnęliśmy skrzynkę wódki i przenieśliśmy do swojego wagonu. Koledzy zabrali się do picia między torami, znalazła się harmoszka i rozległ się samorzutnie śpiew. Zapanował nastrój jakby nie na wojnie. Szczęśliwie w naszym transporcie dużych strat nie było.

Dojechaliśmy do centrum reorganizacji 4-tego ukraińskiego frontu i stamtąd przewieźli nas ciężarówkami i pieszo jako uzupełnienie na pewnym odcinku. Była to częściowo pozycyjna walka. Linia nasza miała stawić zdecydowany opór. Weszliśmy do akcji. Rozpoczęły się nocne patrole. Przeznaczili mnie do 82 mm moździerzy wspierających bezpośrednio natarcie piechoty. Niemcy mieli całą kompanię karabinów maszynowych ukrytych w stertach prasowanej słomy. Mieli bardzo dobrą pozycję do obstrzału. Mimo niekorzystnej sytuacji, Sowieci zastosowali t.zw. falowe natarcie. Atakowała jedna grupa, po niej szła zaraz następna fala i następna. Naszym zadaniem było wstrzelać się w stertę słomy ze stanowiskami karabinów maszynowych. Był to jedyny chyba moment, gdzie naprawdę zależało mi na tym, aby trafić w stertę. Władowaliśmy serię pocisków i zapaliliśmy ją. Dostaliśmy pochwałę.

Zajęliśmy miejscowość, ale musieliśmy się znów wycofać. Cywilnej ludności już tam nie było, ale był staruszek, na przypiecku. Było mu wszystko jedno kto przyjdzie. Z swojej chałupy nie chciał się ruszyć. Wycofaliśmy się, ale dowództwo zdecydowało, że została przy nim jedna z sanitariuszek, zaangażowana również w wywiadzie. Podawała się za córkę staruszka, która pozostała z nim, aby się nim opiekować. Przedała się potem do naszych linii i doniosła, że Niemcy przygotowują coś niezwykłego. Niemcy celebrowali jakąś specjalną okazję, w cerkwi, zamienionej na klub. Dowódca batalionu postanowił wysłać tam patrol, samodzielnego działania. Poszło nas na patrol osiemnastu. Cerkiew miała po trzy okna z każdej strony. Sześciu z nas otrzymało wiązki granatów. Podczołgaliśmy się do cerkwi i oczekiwaliśmy w dużym napięciu sygnału. Ze środka dochodziły odgłosy zabawy. Wreszcie wyszło kilku Niemców. Na ten sygnał wrzuciliśmy łącznie 30 granatów ręcznych równocześnie. Odskokczyliśmy. Dach cerkiewki podniosło. Uciekaliśmy co sił. Z drzwi wybiegł Niemiec z pistoletem w ręku. Zderzyłem się z nim.

Upadł. I ja miałem broń z palcem na języku spustowym. I ani on, ani ja nie pociągnęliśmy za spust. On uciekł i nam się udało dojść do swoich oddziałów. Naturalnie nie wszystkim. Poszło nas 18-tu, a wróciło z powrotem ośmiu. Tak się złożyło, że z grupy rzucających granaty wszyscy wrócili. Zameldowaliśmy się generałowi. Wiedział on, że jestem Polakiem z Zachodniej Ukrainy. Pochwalił nas, że zrobiliśmy dobrą robotę i że trzeba się na to konto napić. Mieliśmy dostać odznaczenie. Zarazie dostaliśmy trzy doby zwolnienia od wszelkich akcji. Te trzy doby zwolnienia miały tę dobrą stronę, że ominęło mnie kolejne natarcie, w którym Niemcy zadali poważne straty naszemu oddziałowi. Po kolejnym uderzeniu Niemcy rozbili nas zupełnie. Na błotniku ciężarówki z trudem wydostałem się z kotła. Z całego pułku zostało nas osiemnastu. Nigdy nie zapomnę dowódcy pułku, który stanął przed frontem i mówi do nas: " z naszego pułku zostało osiemnastu ludzi i numer". Pułk musiał przejść kompletną reorganizację. Dołączyli do nas na razie trzy nowe bataliony. Była nadzieja, że przez dłuższy czas na front nie wyruszymy. Byliśmy używani do służb pomocniczych, między innymi jako gońcy.

Wiadomo już było o układzie między Sikorskim a Stalinem. Jeden z poprzednich dowódców pułku nazywał się po polsku Orzechowski. Komisarz w pułku nazywał się z żydowska Ginsburg. Zapytał mnie dlaczego nie staram się o przeniesienie do polskiej armii. Wyraziłem mu swoje wątpliwości czy to będzie możliwe. Kazał mi napisać podanie o przeniesienie do polskiej armii i przedstawił do raportu. Dowódca popatrzył na mnie, na Ginsburga i orzekł, że jeśli chcę walczyć muszę pozostać w ich oddziałach, jeśli nie chce -rozstrzelać. I tak pierwszy raz usłyszałem pod swo-

im adresem orzeczenie, po którym ciarki przeszły mi po grzbiecie. Słowo "rozstrzelać" budziło we mnie nieprzyjemne wspomnienia z pierwszego okresu mojego pobytu w sowieckiej armii.

Pamiętam, gdy na ostatnich ćwiczeniach przed promocją na oficerów przyszła burza i zmokliśmy doszczętnie. W mojej drużynie był kolega Kariagin, Gruzin. Gruzini uważali się za coś lepszego od Słowian, a w stosunku do Rosjan odnosili się zawsze z pewnym poczuciem wyższości. Trzy gwiazdziste rakiety oznajmiły zakończenie ćwiczeń, każdy, doszczętnie wyczerpany i zablocony, czekał już niecierpliwie na wypoczynek. Gruzin wziął moją i swoją łopatkę i szedł w dół do potoczku, aby je wymyć a ja w tym czasie stawiałem namiot. Wrócił i rozłożył się, skręcił sobie papierosa z machorki. W tym momencie podszedł do nas starszyna, czyli szef kompanii i rzucił sześć dodatkowych, zabloconych łopatek i rozkazał Gruzinowi je wymyć. Gruzin na to: "dobrze, ale nie zaraz. Po takim wysiłku mnie się należy raz zapalić. Swoje łopatki wymyłem, namiot mamy zbudowany. Wymyję je później." Starszyna na to ostro powtórzył rozkaz natychmiastowego umycia. Chciałem wziąć łopatki i wymyć je sam, ale starszyna uparł się i wskazał na Gruzina. Ten zaś spokojnie siedział i palił swoją machorkę. Wróciliśmy do koszar. Następnego dnia nie było ćwiczeń i zapowiedziano, sąd wojskowy. Okazało się, że mój Gruzin został oskarżony o "nie wykonanie rozkazu w czasie wojny". Z każdego plutonu wydzielono po dwóch do wzięcia udziału w tym sądzie. Obrońcą oskarżonego był batalionowy komisarz, a oskarżał "politbojec". Bardzo szybko sąd doszedł do wniosku, że oskarżony nie wykonał rozkazu. Oskarżony zrzekł się ostatniego słowa i obrony. Powiedział, że miałby może coś do powiedzenia, ma nawet świadka, ale nie chce, aby ten świadek znalazł się później na jego miejscu. Był to gest pod moim adresem. Naturalnie nie można było, nie pytany, niczego dodać do postępowania. Mnie nie wzywano i nie przesłuchiowano w ogóle. Nazajutrz odczytano wyrok "rozstrzelanie za nie wykonanie rozkazu".

Służba gońca, czy kuriera (zwiaznoj po rosyjsku), do której mnie odkomenderowano po rozbiciu naszego pułku, miała zaważyć poważnie na moich losach. Dostałem rozkaz wyjazdu, aby dostarczyć listy do HUK NKO (Główna Komenda Uzupelnień Ministerstwa Obrony), korzystając z pierwszego pociągu, który był montowany na ostatnio odbitym odcinku Rostów - Moskwa. Niedaleko słychać było jeszcze odgłosy walk. Był grudzień 1941. Pociąg nie miał więcej jak kilkanaście wagonów, w których jechali przeważnie wojskowi. Żywności miałem na trzy dni. Było przyjęte, że kurierzy mieli prawo żywić się w każdej kuchni wojskowej. Podobnie mieli prawo korzystać z każdego środka lokomocji. W pociągu szybko nawiązywały się rozmowy między żołnierzami. Pamiętam jednego takiego, którego łatwo było poznać, że jest rezerwistą. Jechaliśmy w tym samym przedziale. Poczęstował mnie kawałkiem słoniny, co w Rosji było raczej niezwykle. Była to oznaka specjalnej sympatii. Nazywał się Kowal. Po moim akcencie poznał, że jestem Ukraińcem lub Polakiem. Powiedział, że on także może jest Polakiem. Był w stopniu kapitana rezerwy. Na jednej ze stacji, gdy pociąg się zatrzymał, poprosił mnie, abym przyniósł "kipiatok" (gotująca się woda wszędzie na dworcach dostępna). Można było zrobić z tego herbatę czy nawet kaszę. Dlatego jakiegokolwiek naczynie na wodę i łyżka były niezbędnymi przedmiotami w podróży. Ponieważ nie miałem kociołka, kapitan dał mi swój i prosił, abym przyniósł dla nas dwóch. W kolejce po kipiatok, w czasie wojny przestrzegano zasady, że co dziesiąty cywil musiał ustąpić miejsce żołnierzowi. Wzajemnie szybko mnie więc przepuścili i wróciłem do wagonu. Kapitan na mnie

popatrzył dziwnie i mówi: "A ja myślałem, że ty nie wrócisz". "Dlaczego?" zapytałem. Wyjaśnił mi. "Widzisz tych żołnierzy w kolejce ? Połowa z nich to dezercerzy". Jest to specjalny gatunek dezercerów, jeszcze z carskiej armii. System ten zasadniczo nie zmienił się w Czerwonej Armii. I nie ma na to rady. Każdy ma prawo iść po "kipiatok". I tak długo będzie stał w ogonku, aż jego oddział odjedzie. Nikt nie próbuje dopędzać swojego oddziału, bo jest to prawie niemożliwe. Idzie więc taki na komendę dworca i melduje, że zgubił się z transportu. Rejestrują go, zbierają ich, formują nowy oddział i jadą na front. Wtedy taki dezercer znów idzie na stacji po "kipiatok" i znów "gubi" swój oddział. Tysiące żołnierzy pęta się tak w strefie przyfrontowej. I mój kapitan myślał, że i ja do takich należę. Nie odezwałem się na to, bo nigdy nie wiadomo z kim się rozmawia. Zapytał, czy należę do partii. Odpowiedziałem, że nie. Pokiwał głową. Zorientowałem się, że patrzy na mnie z niedowierzaniem.

Było nas dwóch w przedziale. Doszło kilku nowych, wojskowa pielęgniarka i kilku młodszych chłopaków. Ktoś wydobyl z worka gitarę, siostra szpitalna zaczęła śpiewać. Wytworzył się bardzo swojski nastrój. Siedziałem przy oknie. Zaczął padać gęsty śnieg. Do tego momentu nie zdawałem sobie nawet sprawy, że jest to 24-ty grudnia. Za oknami pociągu zapadał zmrok. Wyłączyłem się z rozmowy i zamyśliłem się. Rosjanie mają szczególny dar wycucia takiej sytuacji. W polskim języku jest jedno określenie - tęsknota. W rosyjskim są trzy określenia na to samo przeżycie psychiczne. Rosjanka pyta mnie do czego tęsknię ? Na to wpada druga Rosjanka i tłumaczy " Mam ciocię- Polkę i 24 grudnia jest Wigilia i on napewno wspomina sobie wigilijny wieczór w rodzinnym domu. Zostawcie go". Nastąpiła chwila ciszy. Odezwały się struny gitary i cicha melodia i piosenka opisująca wieczór nad zamarzającą rzeczką, księżycową noc i brak pieśni słowika wśród oszronionych gałęzi. A potem apel do przyjaciela, aby nie zapomniał o swoich, choć los rzucił go w obce strony. " Miłyj druż, snieżnyj druż ...". Rozkleiłem się. Kapitan poprosił dziewczynę, by napisała dla mnie słowa pieśni. Niedawno znalazłem w starych szpargałach te słowa. Dziewczyna nazywała się Maria Orly. To był mój wigilijny wieczór. Zjadłem kawałek śledzia i wojskowego razowniaka. Śnieżyca i wiatr zaczęły się wzmagać. Pociąg nie mógł się przebić. W nocy zatrzymaliśmy się w szczerym polu między stacjami. Nie można było otworzyć drzwi. Pociąg został zasypany. Wyszliśmy na dach. Tylko kominki wentylacyjne wyzierały spod śniegu. Zrobiło się w pociągu ciepło.

Na drugi dzień przyjechały pługi śnieżne. Dojechaliśmy do węzłowej stacji przed Moskwą. Skierowali nas na wschód. Okazało się, że Komenda do której jechałem, przeniosła się z Moskwy do Kujbyszewa. W międzyczasie dowiedziałem się, że również wszystkie ambasady zostały tam przeniesione, a między nimi również placówka organizującego się polskiego wojska. Wzruszający był moment, gdy na stacji zobaczyłem polskiego orła i napis po polsku: "Punkt informacyjny dla jadących do Wojska Polskiego". Słyszało się głośnie rozmowy po polsku. Gdy zbliżyłem się do nich w mundurze sowieckiego żołnierza, odczuwałem z ich strony niechęć a przynajmniej dużą rezerwę. Zdecydowałem wówczas, że spróbuję się dostać do Polskiego Wojska. Podszedłem do okienka. Urzędował w nim plutonowy, który bardzo wbił mi się w pamięć. Byłem przepisowo umundurowany, miałem karabin, 90 ładunków i 6 granatów. Zapytałem go czy mógłby mi udzielić informacji jak się dostać do polskiego wojska. Popatrzył na mnie i mówi: " Jesteście już chyba w wojsku. czy wam to nie wystarczy ?" I z przekasem: " jakie wam inne wojsko

potrzebne?". Odszedłem zawiedziony i dołączyłem do innej grupy polskiej. Wyczułem u nich sympatię. Zafundowałem im obiad w jadalni.

Wróciłem do plutonowego i usiłowałem mu raz jeszcze bezskutecznie wytłumaczyć moją sytuację. Odszukałem więc polską ambasadę na Pierwomajskiej, gdzie w hotelu były pomieszczenia dla placówek dyplomatycznych. Na froncie powiewały flagi brytyjska, amerykańska i polska. Przed hotelem stał posterunek. Piesi musieli przechodzić na drugą stronę jezdni. Po raz pierwszy widziałem polskich lotników w brytyjskich mundurach z naszywkami "Poland" na rękawach. Trudność polegała na tym, aby się jakoś dostać do wnętrza hotelu. Wybrałem moment, gdy kilku oficerów wchodziło, wsunąłem się szybko za nimi i udało się. Była niedziela. W ambasadzie kelner niósł tacę z rogalikami i świeżą kawą. Z emocji, zapewne, zakręciło mi się w głowie. Zażądałem widzenia się z ambasadorem. Zapytali, czy wiem kto jest ambasadorem. Wiedziałem, że był nim Kot. Na pytanie w jakiej sprawie, zdecydowałem się już zagrać w otwarte karty i powiedziałem, że jestem dezerterem z sowieckiego wojska. Powiedziałem im również, że w podobnej sytuacji są trzy roczniki z Zachodniej Ukrainy i z Białorusi. Musiałem poczekać, bo było właśnie śniadanie a po nim nabożeństwo. Z ambasadorem Kotem nie zamieniłem więcej niż kilka słów. Skierowali mnie do rotmistrza Przewłockiego (jak się później okazało, z II-go Oddziału). Przewłocki znał środowisko na Uniwersytecie Lwowskim, więc kilka nazwisk przeze mnie wymienionych wystarczyło mu, aby mi uwierzył. Polecił mi, abym się udał na dworzec i zameldował u plutonowego, z którym już poprzednio rozmawiałem. Powiedziałem rotmistrzowi, że ten właśnie plutonowy nie chciał ze mną gadać. Uśmiechnął się i polecił mi, aby plutonowemu powiedzieć, żeby dziś wieczór do niego przyszedł. Zapytałem, czy mogą mi dać jakieś zaświadczenie, aby wyjść z ambasady i może jakieś ubranie. Na to Przewłocki: "Dla ratowania jednostki nie możemy ryzykować względnie dobrych stosunków z władzami. Zresztą listy gończe za panem są już rozesłane. Musi pan zmienić nazwisko". Z miejsca zdecydowałem się. Wziąłem imię swojego brata a nazwisko swojej ostatniej sympatii w Trembowli. I z Gardziejewskiego zrobił się Adam Pawlik. Musiałem znów jakoś wydostać się. Wiedziałem, co by mnie czekało, gdyby mnie odkryli jako dezertera. Wartownik zatrzymał mnie i zażądał legitymacji. Pokazałem mu moje papiery jako kuriera. Popatrzył się na mnie i pozwolił przejść. Udało się. Dawno nie czułem się tak lekko na duszy jak wtedy, gdy szedłem na dworzec kolejowy. Podeszedłem do okienka i zameldowałem plutonowemu, że przysłał mnie tu rotmistrz Przewłocki, aby mi pan ułatwił przejazd do organizującego się wojska polskiego. Na to pyta plutonowy: "I co jeszcze pan rotmistrz powiedział?" "Powiedziałem już". "A co jeszcze", uporczywie powtórzył plutonowy. Wtedy w przebłysku podświadomości przypomniałem sobie, że Przewłocki polecił mi przekazać wiadomość, aby plutonowy przyszedł do niego wieczorem. Dopiero teraz zorientowałem się, że był to rodzaj hasła. "Trzeba było tak od razu powiedzieć" i twarz mu się rozjaśniła.

Zapadł zimowy zmrok. Transport do Tockoje miał wkrótce odejść a ja nie wiedziałem z którego peronu. Nikt nie potrafił mnie o tym poinformować. Zrobiło się ciemno i zimno. Był właśnie Sylwester. Poszedłem do latryny. Rosyjskie latryny to po prostu otwory w cemencie z oparciem na stopy. Nie zdawałem sobie sprawy, że wojskowe latryny są również koedukacyjne. Przykucnąłem, podchodzi dziewczyna w mundurze, stanęła przy sąsiedniej dziurze. W tym momencie odezwały się syreny obwieszczające Nowy Rok. Sąsiadka zwróciła się do mnie z nad swojego otworu z życzeniem: "Z Nowom Godom. Molodvi Czełowiek!". Od tego czasu nie ma Sylwestra. abvm

sobie nie przypomniał tamtych życzeń.

Po północy poszedłem na mostek położony kilka stóp nad dachami pociągu. Przeleżałem przez bariery. Zawisłem na rękach, i skoczyłem natychmiast na dach wagonu. Zsunąłem się z dachu i... zacząłem wierzyć w swoje szczęście. Usłyszałem rozmowy po polsku. Okazało się, że była to ta sama grupa, z którą jadłem zupę w jadłodajni dworcowej. Znalazła się butelka wódki. Nie wiem nawet kiedy zasnąłem. Zbudzili mnie dopiero w Tockoje.

W Tockoje zameldowałem się już jako Adam Pawlik. Rotmistrz Przewłocki przekazał już widocznie świadomość i nie miałem już dalszych trudności. Dostałem przydział do 19-tego Pułku Dzieci Lwowskich. W międzyczasie grupa znajomych z pociągu pomogła mi się przebrać. Pozbyłem się więc dobrego, wojskowego szynela za jakieś łachy. Już 6-go stycznia 1942-go roku ładowaliśmy się do pociągu, nie wiadomo dokąd jadącego. Były to wagony bydłce. Na całą szerokość wagonu są przybijane deski, służące jako prycze. Na środku wagonu zmontowana jest "ciepluszka". Trzeba było zdobyć opał, po prostu kraść z innych wagonów. Od maszynisty kupiliśmy trzy wiaderka węgla. Przenieśliśmy go w kufajkach do wagonu. 6 stycznia załadowaliśmy się do wagonu w siarczystym mrozie. Przejechaliśmy przez Taszkent, Gorod Chlebny. Gdy w Guzar za Samarkandą wyładowaliśmy się z wagonu - kwitły brzoskwinie. Tu mieścił się nasz obóz, tu rozpoczęło się urzędowanie komisji poborowych.

Na komisji poborowych stanąłem przed lekarzem, słaniającym się z wycieńczenia. Ja miałem 175 cm wzrostu i 75 kg wagi. Lekarz, który chodząc, trzymał się ściany pyta "gdzieżeś się ty uchował?" Powiedziałem mu, że w Rosji. "Ciekawe" odpowiedział. I wprost z tej wagi poszedłem do aresztu. Po króciutkiej rozmowie z porucznikiem powiedziałem mu o moim spotkaniu z rotmistrzem Przewłockim. Jeśli chcą o mnie bliższych danych mogą się zwrócić do rotmistrza. To nazwisko podziałało jak jakieś magiczne słowo. Puścili mnie natychmiast.

To, że byłem w dobrej kondycji fizycznej okazało się potem bardzo istotne w następnym etapie. Musieliśmy wszyscy przejść przez kwarantannę. Zaczął się panoszyć tyfus: brzuszny, plamisty i amebowa dyzenteria (czerwonka). Ludzie marli jak muchy. Sawicki, Pokrowski i Pawlik. Te trzy nazwiska dobrze pamiętam, bo jedynie myśmy się trzymali dobrze na nogach. Problemem była woda. W okolicy Guzar były plantacje bawełny, nawadniane kanałami nazywanymi "ariki". Woda w nich żółciutka od glinki nawianej. Tylko nas trzech było w stanie nosić kotły z zupą, jedynym posiłkiem jaki tam dostawaliśmy. Awansowałem bardzo szybko, ponieważ umiałem budować sowieckie namioty, które nam przydzielili. Moje wyszkolenie wojskowe w armii sowieckiej weszło mi trochę w krew. Porucznik Mazur popatrzył się raz wnikliwie na mnie i zapytał, dlaczego staram się zataić swój stopień. Odpowiedziałem mu, że byłem jedynie w Legii Akademickiej. Nie wierzył. Odesłałem go znów po dalsze informacje do rotmistrza Przewłockiego. I znów zadziałała magia tego nazwiska. Dał mi spokój. Dodatkowo przydzielili mi funkcje pisarza. Trzeba było zaprowadzić ewidencję ludzi. Nie było kompletnie papieru. Używałem do tego celu torb po sucharach wojskowych. Cięto się te arkusze i zakładało się karty ewidencyjne. Wstąpiłem kiedyś w miasteczku do księgarni, w której sprzedawano całe tomy pism Lenina na pięknym papierze. Wiele było fotografii, a druga strona nie była zadrukowana. Świetnie nadawała się na ewiden-

cję.

W szpitalu, przeładowanym kompletnie leżeli ludzie bez żadnych lekarstw. Pamiętam Staszka Tworka, który leżał 14 dni nieprzytomny i krzyczał tylko: "O laboga, ludzie ratujcie". W tej sytuacji doszła mi jeszcze dodatkowa funkcja sanitariusza.

W kwarantannie transport chleba odbywał się za pomocą wozu, który musieli ciągnąć ci, którzy jako tako chodzili. Nigdy nie zapomnę, gdy na porannych zbiórkach wszyscy musieli wyjść z namiotu. Szef kompanii wymagał, aby tych, którzy zmarli w nocy wynosić też i ustawiać ich na lewym skrzydle. Pamiętam jedną taką noc gdzie na lewym skrzydle było ich szesnastu, na 450-ciu. Kilka nocy później spałem z kolegą, który dostał tyfus plamisty. Jednej nocy obracając się z boku na bok poczułem, że mój kolega już sztywny. Tylko oczy były otwarte, zwiśla szczęka. Wyszedłem z namiotu i przechodziłem do rana. Na te same wozy, które przywoziły chleb w jedną stronę, odwoziło się zmarłych w drugą stronę. Dni mijały. Wielu cierpiało na kurzą ślepotę spowodowaną awitaminozą. Do obowiązku kilku zdrowszych należało prowadzenie do latryny tych z kurzą ślepotą. Bali się oni latryny, bo były wypadki, że wpadali do niej po ciemku. Wypracowałem metodę, polegającą na tym, że prowadziłem naraz aż czterech interesantów. Trzymali się jedną ręką za pas, a drugą ręką mogli sobie odpinać spodnie. Była to moja dodatkowa funkcja.

Zima przeszła. Przydzielili nas do 19-tego pułku. Dostałem drużynę. Dali nam po jednym kocu na dwóch. Ustawiłem drużynę w dwuszeregu. Ostrzegłem ich, aby nie usiłovali tych kocy przehandlować, co było na porządku dziennym. Spisałem ich nazwiska. Pierwszy w pierwszym szeregu podaje: "Kot", za nim "Sikora". Nakazałem im, aby zmienili swoje miejsca w szeregu, bo "nie chcę mieć kota z sikorą pod jednym kocem". Spodobał im się ten kawał i powoli zdobyłem sobie opinię człowieka z humorem. Jakuba Sikorę, tego samego, który jest jeszcze w naszej "Trzynastce" wzięli do szpitala na tyfus. Ogłuchł przy tym zupełnie i stracił włosy. Gdy go zwolnili ze szpitala, był tak osłabiony, że ledwie wrócił do kwater.

Pewnej nocy zasypał nas zupełnie śnieg. Zapowiedziano wyjazd w niewiadomym kierunku. Z atmosfery można było wyczuć, że tym razem wyjazd jest na dobre. Przyszedł Stasio Tworek, który po chorobie z trudem utrzymywał się na nogach. Trzeba go było we dwóch prowadzić do latryny. Zrobiło mi się go żal, bo wiedziałem, że na transport takich ciężko chorych i osłabionych nie zabierają. Staszek też to czuł i mówi do mnie: "Dziadek (tak mnie nazywali), ty mnie tu nie zostawisz, nie?". Musiałem go upewnić, że na pewno nie. Wysłałem go razem z innymi na stacyjkę, gdzieśmy się ładowali i zapowiedziałem im, aby się pilnowali i uważali jak transport ruszy. Zapisałem Staszka do ewidencji transportu. Przy wyczytywaniu obecnych Staszka nie było. Pociąg zaczął ruszać. Staszek wyszedł z rowu razem z drugim kolegą. Nie było mowy, żeby w pędzie wskoczył do biegnącego pociągu. Złapałem go za ramię wciągnęliśmy go do wagonu. Wiele lat później w Winniepegu, gdy Staszek doszedł do imponującej wagi 250 funtów, przypominaliśmy sobie z rozrzewnieniem tamtą przygodę. Śmiali się później koledzy opowiadając, jak to Gardziejewski jedną rękę wrzucił Staszka na pociąg.

Szybko zorientowaliśmy się, że jedziemy nad morze. Załadowali nas na statek - węglarkę. Wiedzieliśmy, że wyjeżdżamy wreszcie z matuszki Rosji. Popętniłem wtedy błąd w ocenie sytuacji. Zostawiłem tylko parę czerwońców, resztę pieniędzy zdałem na Czerwonv Krzvw. Później się okazało, że czerwońce wwmieniano

w Persji. Ciekawe, że nie próbowałem sobie nawet wyobrazić dokąd jedziemy. Napięcie było wielkie, że wreszcie wyjeżdżamy z tego kraju, obojętnie mi było gdzie. Gdy statki odpływały pamiętam stojącego na molo i salutującego postawnego oficera. Był nim późniejszy generał Berling. Nasz transport wyjechał jako pierwsze uzupełnienie strat marynarki i lotnictwa, które już były w akcji.

Wylądowaliśmy w Pahlawi 1-go kwietnia. Idąc przez miasto nie wiedzieliśmy, czy jest to Prima Aprilis. Widzieliśmy kramy pełne pieczywa, wędlin, nabiału. żadnych ogonków, nic się nie wydziela. Trudne do uwierzenia. Było to pierwsze zetknięcie z Persją. Potem nastąpiła gruntowna dezynfekcja, spalenie wszystkich mundurów, łaźnia, odkażanie lizolem, golenie głów i nie głów. Hinduscy sanitariusze mieli pędzel z lizolem, golili tępymi brzytwami.

Na piaszczystych plażach w Pahlavi zetknęliśmy się po raz pierwszy z angielskimi racjami żywnościowymi. Po głodzie, który przeżywaliśmy w Sowietach to był pierwszy wstrząs. W Rosji chleb był komisyjnie rozważany, a potem następowało losowanie, która porcja do kogo należy. Teraz w Persji Anglicy przydzielali żywność na drużynę, a ta później prowiant dzieliła między sobą. Jeden posiłek w ciągu dnia dostawaliśmy z kuchni polowej. Przydzielano jeden chleb na trzech. Później dostawało się przydział boczku, masła, sardynki, dżemy, marmoladę, porcje na sześciu. Dużo czasu minęło, nim przekonaliśmy się, że prowiantu jest dostatecznie dużo. Częste były przypadki przejedzenia się chłopaków, którym trudno było odmówić repety. Drugim wstrząsem było spalenie na stosach wszystkich battledressów, które nam wydano w Rosji. Miało to na celu przeciwdziałanie rozszerzaniu się robactwa i chorób. Dziwiliśmy się jak można było tak marnotrawić zupełnie nowe mundury.

Do przetransportowania naszych ludzi Anglicy wynajęli jakieś prywatne przedsiębiorstwo perskie. Ładowali nas jak śledzie na stare ciężarówki i kierowcy jechali brawurowo po górskich serpentynach. Trzeba było mieć dużą odwagę, aby z takiej ciężarówki nie wyskoczyć.

Jadąc pod górę, pomocnik kierowcy stał na stopniu ciężarówki, trzymając się jedną ręką drzwi a w drugiej ręce miał kamień. Gdy samochód musiał stanąć, pomocnik zeskakiwał ze stopnia i podkładał pod tylnie koło kamień, aby zabezpieczyć się przed stoczeniem do przepaści. Były dwa wypadki, gdy ciężarówka stoczyła się w dół. Były też dwa czy trzy wypadki śmiertelne.

Zostaliśmy zakwaterowani w obozie przejściowym. Anglicy urządzili go w pięknych blokach, które przy fabryce amunicji, 7 km od Teheranu, zbudowali dla Persów Niemcy. Tam wladowali cały nasz transport, który 1-go kwietnia wylądował na ziemi perskiej. Teren był zagrodzony parkanami. Żandarmeria angielska pilnowała porządku. Zaczęło się spisywanie ewidencji. Ponieważ była Wielkanoc, każdy zaopatrzył się w jajka gotowane na twardo, sprzedawane przez Persów na każdym kroku. Po świętach wywieziono nas do obozu w pustyni w Ahwazie. Tam zetknąłem się po raz pierwszy z pustynią. Średnia temperatura roczna jest w Ahwazie jedną z najwyższych na Środkowym Wschodzie. W styczniu wyjeżdżając z Tockoje mieliśmy 35 stopni Fahrenheita poniżej zera, a w Ahwazie byliśmy wystawieni na temperatury powyżej 110 stopni Fahrenheita. Prawdopodobnie w wyniku procesu przystosowywania się do tych szalonych zmian temperatury straciłem wszystkie włosy. Twierdzono, że to dlatego, że siedzieliśmy uporczywie, jak się tylko dało, pod prysznicami. W latrynach dla dezynfekcji smarowano systematycznie deski -

siedzenia ropą naftową. Żelówki gumowe w tenisówkach topiły się przy zetknięciu z tą nagrzaną ropą. Dali nam hełmy tropikalne, korkowe. Szorty można było podwijać powyżej kolan. Żadna część ciała nie powinna być wystawiona na działanie słońca. Nie było amatorów do opalania. Niebo na Środkowym Wschodzie ma kolor opalowy, nie błękitny. W nocy niebo jest prawie czarne z jasno widocznymi gwiazdami. Różnica między temperaturą dnia a nocy była bardzo duża.

Noce były chłodne. Służby odbywało się w kozuchach. Szron pokrywał namioty.

Tutaj zetknąłem się z biurokracją polskiej armii. Werbowano do różnych rodzajów broni, w pierwszej kolejności do lotnictwa. Brano do niego najmłodszych (18 - 21 lat) ze skończonymi przynajmniej paroma klasami gimnazjum. Stan zdrowia decydował o przyjęciu. W ewidencji wpisano mi, że byłem ochotnikiem w Czerwonej Armii a poborowym w Polskim Wojsku. Upierałem się przy zmianie tej ewidencji, twierdząc, że odwrotnie jestem ochotnikiem w Polskim Wojsku a poborowym w sowieckim. Skończyło się to moim pierwszym raportem karnym.

Dostałem przydział do oddziałów rozpoznawczych 7-mego batalionu piechoty. Zetknąłem się tam z instruktorami, którzy walczyli w Tobruku. Przydzielono nam carysy, otwarte, gąsienicowe pojazdy, lekko opancerzone, z dwoma ludźmi obsługi. Były bardzo zwrotne. Można było kręcić się w kółko na miejscu, dzięki zróżnicowanemu kierunkowi obrotu gąsienic. Były one także używane do rozpoznania. Sporo było miejsca na skrzynki z amunicją. Przydzielono nas jako uzupełnienie do Pułku Ułanów Karpackich. W Brygadzie Karpackiej panowała koleżeńska atmosfera. Szarże były z wszystkimi na ty, nie było tej, typowej dla innych oddziałów, kapraleskiej dyscypliny, którą my zwalczaliśmy na każdym kroku. Rozkazy wykonywaliśmy w zrozumieniu, że niewykonanie mogłoby sprawić przykrość naszemu dowódcy. Uważaliśmy, że wojna nie ma sensu, że bezsensowne zabijanie młodych ludzi jest nielogiczne.

Bardzo szybko dochodzi się jednak do tego, że dyscyplina jest konieczna i że rozkazów nie można dyskutować. Przeprowadzaliśmy porównanie np. z grą w piłkę nożną. Na pozór sensu nie ma ganiecie za piłką i wkopnięcie jej między dwa słupki. Jednakże stworzono pewne reguły gry i wszyscy się entuzjastują jej przebiegiem. Podobnie z wojną. Są pewne reguły gry, które trzeba przyjąć, zaakceptować i potem już automatycznie się je stosuje. Dowódca nasz w czasie wojny niewiele mówił o patriotyzmie i o innych podniosłych sprawach. Mówił zamiast tego do nas "nie bądź głupi i nie daj się zabić". Żał mi było atmosfery Brygady Karpackiej. Pułk Ułanów Karpackich nie cieszył się specjalną renomą w Brygadzie Karpackiej, gdyż nie było w nim tego fasonu kawaleryjskiego. Podczas jednej z kolejnych ewidencji kapral pytał mnie po raz nie wiadomo który, jakie mam wykształcenie. Odpowiedziałem mu, że dwa lata UJK (Uniwersytet Jana Kazimierza). Kapral zapisał, że mam dwa lata, ale nie dodał tego UJK. Tak więc w ewidencji wpisano mi, że mam dwie klasy szkoły powszechnej. Wraz z grupą ośmiu innych nie dostałem przydziału na żaden kurs specjalistyczny, lecz przekazano nas do kopania latryn. Reszta chodziła na zajęcia, gdzie ładowano w nich wiadomości o prądach stałych, zmiennych, wiadomości z fizyki i biedni chłopcy gubili się często w tych przedmiotach. Przychodzili do mnie i tłumaczyłem im cierpliwie. Zauważył to instruktor i pyta się mnie, skąd ja to wszystko znam, mając w ewidencji dwie klasy powszechne. Skończyło się na tym, że przedstawili mnie do raportu, że wprowadzam władze w błąd. Sprawa się wyjaśniła i przydzielili mnie na kurs łączności. I tak się zaczęła moja kariera w Pułku Ułanów Karpackich. Pułk składał się z trzech szwadronów

bojowych i czwartego szwadronu szkoleniowego. Fantazja kawaleryjska, która na sprzęcie motorowym nie bardzo mogła się wyżyć, pozostała tylko w swoistej dyscyplinie i w tendencji wyróżnienia się od innych. Bielone pasy charakteryzowały Pułk Ułanów Karpackich, jak również czyszczenie do połysku wszystkich mosiężnych części pasa, co było nawet przedmiotem wyśmiewania się w całej Brygadzie Karpackiej.

Największe ćwiczenia aplikacyjne odbywały się na terenie trzech państw od Egiptu począwszy, przez Palestynę po Transjordanie. Nie znając jeszcze dobrze angielskiego mieliśmy tendencję do spolszczania angielskich wyrazów. W Palestynie miejscowość Biriacov wszyscy nazywali Buraków. Barage zamieniał się w Zbaraż. Nie bardzo dociekaliśmy dokąd nas przerzuca. Po tylu przemieszczaniach, uważaliśmy, że gdzie się rzuci plecak, tam jest nasze miejsce postoju. Zaokrętowali nas i wylądowaliśmy we Włoszech. Każdy był upoważniony tylko do bagażu, który mieścił się w plecaku i worku bagażowym. Nastąpiło więc palenie wszystkich niepotrzebnych rzeczy w wielkim ognisku. Dziwili się Anglicy, choć patrzyli pobłażliwie na to, że żołnierze, specjalnie z Pułku Ułanów Karpackich, wnosili ze sobą, poza bagażem, 4 galonową bańkę wody. Okazało się, że w bańkach był spirytus zakupiony w Kairze.

Patrzyliśmy na sylwetki statków stojących na redzie, wymalowanych na stalowy kolor z kamuflażem. Uderzyła nas sylwetka jednego ze statków, która bardzo przypominała "Batorego". I okazało się, że był to istotnie "Batory" i nasz szwadron został na niego zaokrętowany. Statek był zupełnie dostosowany do transportu wojska, ale salony "Batorego" były zachowane i można było tam zaglądać. Szybko nawiązaliśmy dobrą komitywę z załogą "Batorego" dzięki bańkom spirytusu. Kapitan "Batorego" zarządził "suchy okres" w związku z jakimiś przekroczeniami w Bombaju. Załoga nie dostawała przydziału i musiała polegać na naszym spirytusie. Wylądowaliśmy się w Taranto. Przywitała nas włoska zima - śnieg, chlapa, mokro. Zaczęliśmy palić ogniska, co spowodowało konsternację, bo we Włoszech jest brak drzewa. Przeszedł zakaz palenia ognisk.

Korpus powoli wchodził do akcji. Pułk Ułanów Karpackich przeszedł jeszcze dodatkowe ćwiczenia wysokogórskie. Trzeba było z pełnym obciążeniem chodzić po górach. Ponadto zapoznawaliśmy się z minami. Przeszliśmy prawie wszyscy wyszkolenie saperskie. Tu, po raz pierwszy, zetknąłem się z Adziem Bocheńskim. Fizycznie był on chudy, szczupły, nogi jak piszczele. Człowiek się dziwił na czym ten mundur wisi. Ostry profil, wymawiał "r" z francuska. Skończył Sorbonę ze złotym medalem, wprawdzie, ale jego "r" nie było sztuczne, to była wada jego wymowy. Trochę się jąkał. Był podporucznikiem, otaczała go legenda tobrucka, gdzie spalił wieżę obserwacyjną niemiecką i tam już wykazał, że jego podejście do wojska było bardzo swoiste. Wyraźnie się bawił w wojsku, jak zresztą sam mówił. Był dowódcą plutonu rozpoznawczego. Pluton składał się z 24 ułanów. Dowódca jeździł "scoutcarem". Bocheński miał już Virtuti Militari jak również kilka innych wyższych odznaczeń brytyjskich. Należał do "Kawalerów Maltańskich". Pochodził z rodu Ponikwy-Bocheńskich, choć nigdy tego nie podkreślał. Był jednym z tych, o których mówi żurawiejka pułku: "Trochę chamów, trochę panów, to Karpacki Pułk Ułanów". Zresztą mieliśmy tych panów więcej jak na okrasę. Był Andrzej Tarnowski z Dzikowa, Marek Lubomirski.

Adziu Bocheński udowodnił już poprzednio Anqlikom, że nawet najbardziej

nowoczesne żyrostaty, które miały zastąpić busolę na pustyni, zawodzą. Opracował dla Armii Brytyjskiej nowy system nawigacji pustynnej. Bardzo szybko poznał także miny. Na ten temat również napisał instrukcję, dotyczącą wykrywania i rozbrajania min. Ironia losu polegała na tym, że w jednej z późniejszych akcji pod Loreto, sam wyleciał na minie, którą wysadzał wbrew lansowanej przez siebie zasadzie, że do rozbrajania min podchodzi zawsze tylko jeden człowiek. Gdy się teraz ogląda seriale z okresu wojny, gdzie akcja się toczy wartko, człek się dziwi, gdyż z własnego doświadczenia wie, że w czasie wojny żołnierz najwięcej czasu spędza na czekaniu. Czekają na rozkaz, na zmianę postojów. Szkolenie bardzo pomagało, aby ten czas czekania skrócić. Jednym z kursów przygotowawczych do akcji był kurs troczenia mułów. Adzio Bocheński, kiedyśmy się bliżej po raz pierwszy zetknęli, chciał mnie wysłać koniecznie na amerykański uniwersytet. Nie miałem wtedy ochoty na studia. Uważałem, że w czasie wojny obowiązkiem młodego człowieka jest być w wojsku. Było już nawet miejsce dla mnie na wydziale prawa, ale powiedziałem mu wtedy, że miałem zamiar pójść na medycynę. Postarał się i o to, ale jak mi powiedzieli, że to potrwa 9 lat, zrezygnowałem.

Pluton por. Bocheńskiego otrzymał zadanie, aby zbadać możliwość przerzucenia samochodów pancernych poza Monte Cassino, przez dolinę rzeki Selwy na drogę na Rzym. Ubezpieczeniem plutonu był cały szwadron samochodów pancernych. Porucznik Bocheński został bez kierowcy i dostałem rozkaz objęcia tej funkcji. Akcja ta jest dokładnie opisana w opowiadaniu Bocheńskiego "Nasza mała wojna" wydana w paryskiej "Kulturze", a także w "Zaczęło się w Tobruku". Doszliśmy do miejscowości Selwa, zupełnie zniszczonej i ciągle jeszcze pod niemieckim ostrzałem. Po raz pierwszy spotkaliśmy się z tzw. "cyrkiem niemieckim". Były to samobieżne działa o bardzo dużej sile ognia. Gdy Niemcy chcieli zwrócić na siebie uwagę, wtedy podciągali kilkanaście tych dział skoncentrowanych na niewielkiej powierzchni i skierowywali huraganowy ogień na bardzo mały odcinek, a później przerywali na jakiś czas. Odzywał się dźwięk "Kujawiaka", a po kilkunastu taktach słyszało się przyjemny głos "Wandy", opowiadający o przygotowaniach świątecznych przed Wielkanocą, o zwyczajach świątecznych, o tym, jak się zdobi izby tatarakiem. Po takim wstępie nad głowami zaczęły się rozrywać pociski propagandowe z ulotkami. Na nich tekst, z którego wynikało, że ta ulotka jest przepustką do domu i okazując ją niemieckim placówkom można bez trudności wrócić pierwszym pociągiem do domu na święta. Podobno jeden z żołnierzy, starszy sierżant dostał się w ten sposób do Polski. Ta akcja denerwowała żołnierzy. Mieliśmy w swoim plutonie junaków, którzy naprasali się na akcję, na wypad, żeby zniszczyć wóz z głośnikami.

Patrole z Adziem odbywały się co noc. Bocheński zapraszał mnie na te patrole, ale ja konsekwentnie wolałem rozkaz. Przede mną dziesięciu zginęło na patrolach. Wszystkich przynosił z patrolu, trzeba mu to przyznać. Bocheński sformułował więc rozkaz w taki sposób, że nie mogłem mu odmówić. I tak chodziliśmy na te nocne "przechadzki". Każdy jego patrol musiał się spotkać z Niemcami. Bocheński podsłuchując Niemców z bliska cieszył się, że mówią pięknym wiedeńskim akcentem. W czasie jednego z patroli zapędziliśmy się 7 kilometrów za linię niemiecką. Na skrzyżowaniu dróg stała tablica ostrzegawcza. Adzio zdecydował, że dobrze by było mieć tę tablicę, jako dowód, że tu byliśmy. Miał zasadę, że "ja się boję, ale oni się też". Włazłem Adziowi na ramiona i zerwałem nieszczęsną tablicę. Sensu to nie miało, ale nie myślało się wtedy w ten sposób. Nasze rozpoznanie skończyło

się na tym, że doszliśmy do wniosku, że droga była nie do przejścia. Na tym skończył się projekt obejścia Monte Cassino.

Różnie reagują żołnierze na stres w akcji. Pamiętam jak jeden z kolegów nie wytrzymał nerwowo w czasie ostrzeliwania artyleryjskiego i zaczął się na kolanach modlić. Spałem, ale usłyszałem krzyk. Wstałem i skłamałem go. Nie mógł mi tego wybaczyć, że go tak paskudnie potraktowałem. Oparło się o księdza kapelana. Reakcja kapelana była podobna. Powiedział mu, że "gdy jesteś na linii to się nie ma co modlić. Jak ci to pomoże, to zaklnij sobie szpetnie."

Po jakimś czasie można rozpoznać te reakcje na stres i wiedzieć na kogo można liczyć w trudnych sytuacjach. Żołnierz odczuwa w takich wypadkach potrzebę rozmawiania. Gdy się jest dłuższy czas w grupie, to zna się wszystkie szczegóły jego życia, każdy kącik w jego wsi, wie się co jego mama gotowała i co mu smakowało. Trzeba to cierpliwie wysłuchiwać. Pomaga to osłabiać napięcie. Byliśmy cztery kolejne dni na linii. Miałem kolegę, który opowiadał mi ciągle o sobie. Między innymi zapytał mnie nagle, czy ja lubię buraczki, takie utarte na tarce, smażone na maśle ze śmietaną. I opowiadał o tych buraczkach, jakie jego mama robiła. Zaczęło się artyleryjskie macanie. Obsługiwaliśmy stanowisko karabinu maszynowego. Na głowie mieliśmy angielskie hełmy, które przypominały góralskie kapelusze. W którymś momencie gruchnęło koło nas. Podmuch wyrzucił karabin ze stanowiska. Poczułem coś lepkiego na twarzy. Widzę, że mój Karol nie ma hełmu, ale nie ma również czapki. Ścieram z twarzy lepką, czerwoną maź i pierwsze skojarzenie jakie mi się nasunęło to "buraczki". Konsystencja i kolor przypominała mi buraczki, o których on opowiadał przed kilkoma minutami. I wtedy silna refleksja, że przecież ta wojna kompletnie nie ma sensu. Człowiek żył przed chwilą i miał te wspomnienia i mówił o tym. Przyznam się, że od tego czasu nie bardzo mi smakują buraczki.

Akcja rozpoznawcza została ukończona w ciągu trzech tygodni. Wiedzieliśmy, że następny ruch to Monte Cassino. Doniosły nam o tym ulotki niemieckie i audycje stacji radiowej "Wanda". Jedna z takich ulotek wyobrażała polskiego żołnierza z zawiązanymi oczyma idącego nad urwistą przepaścią i popychanego przez otyłego Anglika a pod nią tekst: "Stąd pójdziecie pod Monte Cassino a tam was czeka piekło."

Podwieziono nas na pozycje wyjściowe. Dalej trzeba było dźwigać wszystko na plecach, więc sprzęt ograniczono do minimum. Saperzy zbudowali specjalną drogę, którą szło zaopatrzenie amunicji. Drogę budowało się pod maskującymi sieciami. Czekamy. Przepakowywałem plecak. Miałem kilka par skarpet wełnianych. Wpadłem na pomysł i z jednej ze słabych skarpet zrobiłem piłkę szmacianą. Zaczęliśmy grać w palanta. Uzgodniliśmy przepisy. Zainteresowali się tym oficerowie i zagrałiśmy partię - oficerowie przeciw ułanom. W ten sposób czas szybciej zleciał.

Doszliśmy do wioski Caira. Byliśmy na styku między 15-tym pułkiem ułanów a Nowozelandczykami, którzy zajęli stanowiska na zboczach góry Cairo. Nigdy żołnierz nie wie jak będzie reagował w następnej akcji. Szczególnie dotyczy to tych, którzy dostali odznaczenia bojowe. Uważają, że od nich będzie się oczekiwało więcej niż od innych żołnierzy. Widziałem kawalerów Virtuti Militari, którzy okazywali wielki lęk przed akcją.

Kiedyś ktoś pytał się mnie o moje przeżycia pod Monte Cassino. Tak się składa, że najbardziej kojarzą mi się z Monte Cassino placki kartoflane. Niektórzy uważają to za żart, ale to nie żart. A zaczęło się od tego, że plutonowy podchorąży Zygmunt Rowiński, był bardzo lubianym przez żołnierzy. Powiedział mi raz, że się boi żółtaczk, jaką dostał, będąc w dużym napięciu nerwowym na pierwszej linii w Tobruku. Wysłali go wtedy do szpitala. Wyznał, że miałby teraz wielką ochotę na placki kartoflane. Wierzył, że uchroniłyby go na pewno od żółtaczk. Chciałem mu zrobić przyjemność, ale nie łatwo było zdobyć na pierwszej linii surowe, świeże, nie konserwowe ziemniaki i wszystkie inne dodatki jak mleko w proszku, mąkę, jajka i dobrą wodę. Po wielu wysiłkach udało mi się jednak skompletować potrzebne produkty, a z puszek po konserwach zrobić tarkę do kartofli. Używaliśmy do tego bagnetu, którym dziurawiło się blachę z puszki. Niemcy zaczęli łupić z moździerzy. Kucharze nasi uciekali wtedy z kuchni. Wykorzystaliśmy ten moment i zaopatrzyliśmy się w kuchni w patelnię i prymus. Pamiętam pierwsze placki. Po przyrządzeniu mieszaniny utartych kartofli, mąki, jajek rzuciło się to wszystko na patelnię. Rozszedł się nęcący zapach. Przybiegł zaniepokojony szef i do mnie: "Dziadek, co ty wyprawiasz? Jak Niemcy poczują zapach placków, będziemy mieli wypad!". Do Niemców wprowadzić było przynajmniej z 300 metrów w prostej linii. Pierwsze placki dostał, naturalnie, Zygmunt, nawet ze śmietaną zrobioną z mleka w proszku. Obdzieliłem cały pluton, a oficerowie musieli się okupić butelką wódki za dwa placki. Długo się jeszcze potem pamiętało te placki kartoflane. A Zygmunt nie dostał żółtaczk. Placki wpłynęły korzystnie na jego i innych samopoczucie. Moje relacje z pod Passo Corno opisał m.in. Wańkiewicz, bez podania mojego nazwiska, o co go specjalnie prosiłem, nie wiedząc, co się dzieje z rodziną w Polsce i nie chcąc jej narażać.

Przywykliśmy do poruszania się na polach minowych. Były przed nami pozakładane pola minowe francuskie, amerykańskie, a my zakładaliśmy dodatkowo swoje własne. Związane z tym było robienie dokładnych szkiców, szczególnie pozycji tzw. "skaczących Jacków". Myny te za poruszeniem ziemi wyskakiwały na wysokość 3-ech stóp i dopiero potem eksplodowały. Niemcy dawali do tych min gwoździe, zardzewiałe nakrętki. Chirurdzy mieli sporo roboty. Straciłem w tych akcjach kilku bliskich i dobrych kolegów.

Po Monte Cassino mieliśmy w Pułku Ułanów Karpackich zasłużony wypoczynek. Odsunęli nas daleko od frontu do pięknej górskiej miejscowości Montagano. Pojechałem tam jako kwaterunkowy dla naszego szwadronu. Równie ważnym zadaniem, jak przygotowanie kwater, było znalezienie źródła dobrego wina. W Montagano był stary zamek zamieszkały przez właścicieli. Zamek górował nad okolicą. Wybrałem sobie dla plutonu mniejszą salę balową z freskami na sufitach i amorkami. Staruszek, dobrze po 60-tce, zapytany o źródło dobrego wina przyniósł butelkę do spróbowania. Przy okazji opowiedział mi o swoich losach żołnierskich z I-ej wojny światowej. Nalał mi wina, popatrzyłem się naprzód na kolor pod światło, umoczyłem usta, posmakowałem niewielki łyk. Spojrzał na mnie badawczo i zapytał, czy w naszych stronach piło się wino. "Bo ty pijesz wino nie tak jak żołnierz". I zaoferował, że tak długo jak długo tu będziemy, dostaniemy wino z tutejszej piwnicy. Przyniósł duży kosz z 16-toma butelkami tego wyśmienitego wina. Ustawiłem butelki w swoim namiocie i zaczął się wypoczynek. Koledzy opowiadali potem, że przez cały okres pobytu w Montagano, ani razu nie wyszedłem na zbiórke. Dowódca się zdenerwował i posłał szefa do mnie, żebv mnie sprowadzić

na zbiórkę. Na następnej zbiórce zabrakło już szefa. W końcu i dowódca szwadronu znalazł się u nas na całą noc. Puste butelki wymienialiśmy u staruszka na pełne. I wtedy pamiętam miałem przerwę w życiorysie. Dyscyplina wojskowa została kompletnie zawieszona.

Miałem sporo amerykańskich kocy, cieniotkich, wełnianych. Do kuchni schodziły się dzieciaki, bo za wojskiem zawsze chodzą dzieciaki i psy. Te się wojska nie boją. Anglicy przestrzegali zasady, że cywile nie dostawali jedzenia od wojska. A myśmy karmili te dzieciaki. Strzeliło mi coś do głowy, aby ubrać dzieci w peleryny zrobione z amerykańskich koców. Znalazł się w miasteczku krawiec, który naszył tych peleryn chyba z 19-cie, dla chłopaków, którzy potem zwartym oddziałem przychodzili do kuchni w pelerynach po jedzenie.

Z Montagano wyjechaliśmy na samochodach pancernych i weszliśmy do akcji m.in. w Porto San Giorgio, Porto Recanati przed Ankoną. Zadaniem naszym było tylko wiązanie nieprzyjaciela a nie posuwanie się naprzód i zdobywania terenu. Drugi szwadron Pułku Ułanów Karpackich dostał się w zasadzkę niemiecką. Dostałem rozkaz, by dojechać do brodu na rzece Mussone, o szerokości około 20 metrów i zbadania go. Okazało się, że z drugiej strony brzegu byli okopani Niemcy. Przepuścili cztery nasze samochody, lecz zniszczyli piąty w momencie przekraczania brodu. W ten sposób zablokowali przejście. Jeden z Niemców chciał od tyłu wskoczyć na samochód pancerny i wrzucić do środka granaty. Samochód raptownie włączył wsteczny bieg i Niemiec spadł na wznak a samochód przejechał go, wciskając mu w twarz lornetkę. Dostałem rozkaz, aby ewakuować rannych, poruszających się jeszcze pod jednym z rozbitych samochodów. Pojechaliśmy naszym samochodem pancernym z Tadiem Jagielskim. Otworzyłem klapę w "skautkarze". Fosforowy pocisk wypalał wewnątrz. Porucznik Polkowski leżał pod wozem, trzymał ręce na brzuchu i powtórzył tylko: "bierzcie Heńka". Sam był ciężko ranny i skończył za chwilę. Wzięliśmy Heńka. Następny pocisk łupnął w mój samochód pancerny i sam znalazłem się po samochodem Polkowskiego. Wsunęliśmy Heńka do koca i doczołgaliśmy się do najbliższej koniczyny. Zsunęliśmy się do niemieckiego rowu dobiegowego. Ogień z karabinów maszynowych był tak gwałtowny, że Niemcy zaczęli się cofać w swoich rowach. Miałem na nodze pistolet. Nieśliśmy rannego w tym rowie a z drugiej strony, w przeciwnym kierunku szli Niemcy. W pewnym momencie Niemcy, widząc, że niesiemy rannego, stanęli bokiem i przepuścili nas. Dosłownie otarliśmy się o siebie. Nikt nie próbował walczyć. Doszliśmy szczęśliwie na swoją stronę.

Na drugi dzień tej samej akcji dostaliśmy 140-tu chłopaczków z junaków. Najstarszy miał 17 lat. Poszliśmy z oddziałem po kawę i poleciliśmy jednemu z nich, Gąsce, aby został przy sprzęcie. Zapytał, co ma zrobić jak przyjdą Niemcy? Powiedziałem mu, że ma krzyczeć : "Hände hoch!". Po krótkiej chwili wracamy z kawą i przed naszymi oczyma taki widok: zza wału wychodzi 23-ech Niemców z rękoma podniesionymi, za nimi mały Gąska z karabinem. Gąska opowiadał potem, że zobaczył jak spod mostu wylazł jeden, aby się załatwić z potrzebą. Wtedy zakrzyknął jak mu kazałem "Hände hoch !" I za nim wyszło spod mostu 22 innych. Była to grupa odłączona od swojego oddziału. Gąska stał się bohaterem dnia. Nie na długo niestety, bo w sześć dni później zginął od kuli.

Dotąd kule mnie omijały. Przyszła jednak i na mnie kolej. Znaleźliśmy się w polu obstrzału. Dobrze wstrzelani Niemcy puścili serie z moździerzy. Jeden z nich ude-

rzył w samochód i przez drzwiczki, które otworzyłem, by wysunąć karabin maszynowy, poszła seria odłamków w moją nogę. Nie czułem bólu nawet po tych, jak się później okazało, 18-tu odłamkach. Czuje się jakby ciało ścierpło. Dopiero później robi się nieprzyjemnie, gdy widzi się spływającą krew.

Zabrała mnie sanitarka. Kapelan zwrócił się do mnie: "No, i trafiło w ciebie, łotrze, może coś chcesz?". A ja nie myślałem o tym, że kapelan przyszedł z pociechą duchową i mówię mu : "Księżu kapelanie, w moim plecaku są papierosy!". Nie mógł mi tego długo zapomnieć. "Ja do niego z pociechą a on mnie po papierosy!".

Chirurg, dr. Sokołowski przeznaczył mnie do transportu do Egiptu, do bazy II-go Korpusu. Odmówiłem mu. Groził, że nie będę już więcej tą nogą ruszał. Według angielskiego zwyczaju miałem na noszach ładnie wyczyszczone buty. Mają je nawet ci, którym amputowano nogę. W końcu przekonałem go i zostałem we Włoszech.

Wróciłem z powrotem do pułku. Dowódca szwadronu powiedział mi: "Dziadek, twój łut szczęścia się skończył". I rzeczywiście. Raz wyleciałem na minie, krótko potem na drugiej.

W tym czasie przyszedł rozkaz generała Andersa, aby wszystkich instruktorów, którzy byli na linii, wysłać do centrum wyszkolenia broni pancernych. Równocześnie instruktorów, którzy aktualnie są w centrum wyszkolenia ściągnąć do oddziałów macierzystych, aby mieli szansę powąchania prochu zanim skończy się wojna. Na podstawie tego rozkazu zostałem odkomenderowany do Centrum Wyszkozenia Broni Pancernych na południe Włoch. Generał chciał mieć instruktorów wyszkolonych w angielskich centrach wyszkolenia. Przeszliśmy przez polską "Dwójkę", byliśmy bardzo dokładnie pouczeni, o co chodzi naszemu dowództwu.

Pamiętam scenę z zakończenia wojny. Dojechałem do swoich oddziałów pod Bolonią. Dowódca szwadronu z ułanami grał w siatkówkę. Z drugiej strony nadszedł przyspieszonym krokiem służbowy i krzyczy "Panie rotmistrzu, melduję, że radio donosi o zakończeniu działań wojennych we Włoszech". Piłka nadal przechodziła z jednej strony siatki na drugą. Zdało im się, że najpierw należy zakończyć grę. Krótko potem załadowaliśmy się na statek w Neapolu. Po kilkudniowym rejsie dopłynęliśmy do Anglii. Przewieziono nas do Cathric Camp. Był to jeden z wielkich obozów szkoleniowych. Miedzy innymi było również skrzydło polskie. Komendantem polskiego skrzydła był major Poliszewski. W szkole było 24-ech odkomenderowanych z II-go Korpusu. Szkolenie prowadzono według angielskiego regulaminu. Szkolenie rozpoczynało się od najbardziej podstawowej musztry i codziennych przeglądów. Moje doświadczenia przeszłych lat pozwoliły mi przejść całą szkołę względnie spokojnie.

Nic specjalnie nowego nie dowiedzieliśmy się, choć sporo było technicznych nowości. Metody szkolenia były bardziej rzeczowe, niż w polskim wojsku. Po roku intensywnego szkolenia dostaliśmy promocje i stopień oficerski z adnotacją na jakie stanowisko najlepiej się kadet nadaje. Skończyłem szkołę z wynikiem "exemplary", co przetłumaczono na język polski "z wynikiem wybitnym". Po polsku brzmi to nie bardzo po wojskowemu i później koledzy "ciągnęli ze mnie łacha".

Moja jednostka macierzysta stacjonowała ciągle jeszcze we Włoszech. W tym czasie, prowadzono w oddziałach intensywną działalność sportową, aby utrzymać woisko w dobrej kondycji. Ponieważ mówiło się o przeniesieniu wojska do Anglii

chciano nas przetrzymać raczej na stacji zbornej w Anglii, aż do momentu przyjazdu wojska. Na stacji było wielu Ślązaków z wojska niemieckiego. Dyscyplina rozprzęgała się. Wysłano nas tam, aby wprowadzić trochę porządku, aby sobie zdawali sprawę, że jak długo żołnierz dostaje żołd, jak długo jest w mundurze, obowiązuje go dyscyplina. Nie mieliśmy z tym trudności, będąc świeżo po szkole i mając tradycje i doświadczenia z II-go Korpusu. Zwykle z nowym rekrutem nie ma kłopotu, gorzej jest jednak, gdy ma się do czynienia z żołnierzem szkolonym w innej armii. Nasza grupa podchorążych zdobyła sobie uznanie u oficerów II-go Korpusu.

Upieraliśmy się jednak, aby wrócić do swoich jednostek. Wysłano nas wreszcie do Włoch, ale nie trwało długo i po kilku tygodniach przygotowując przerzucenie Korpusu do Anglii wysłano nas w pierwszym rzucie jako kwaterunkowych. Przyjechałem w tym charakterze do Grimsby. Był to obóz jeniecki z wieżami obserwacyjnymi i drutami kolczastymi. Nie mogłem ich ścierpieć i zanim przyszło zezwolenie, zwaliliśmy wraz z kolegami te nieszczęsne wieże.

Zaczęło się przygotowanie do życia cywilnego. Prowadzono różnego rodzaju kursy zawodowe. Nie wiem dlaczego, ale najwięcej było amatorów na kursy zegarmistrzowskie. Można się było nauczyć murarki, krawiectwa i wszelkich możliwych zawodów. Grimsby był portem rybackim. Zawijały do niego jednostki rybackie należące do Polaka, którego wojna w 1939 roku zastała na łowiskach w Islandii i który pozostał w Anglii. Zapewne w związku z tym urządzono kurs dla rybaków, na który się zapisałem. W międzyczasie zaczęto szkolić załogę obozu, w którym administracja miała być prowadzona według przepisów angielskich. Tu, muszę dodać, że administracja polska wypracowała bardzo specyficzne sposoby zdobywania funduszy. Przykładowo wypracowano poważny dochód z kantyny, co było nie do pomyślenia według zasad angielskich. Spore sumy, zwane później jako "sumy polskie", zostały przejęte przez Stowarzyszenie Polskich Kombatantów.

Nastąpił okres decyzji. Rozrzucano ulotki zachęcające do powrotu do Polski. Każdy żołnierz indywidualnie musiał się w obecności wyższego oficera angielskiego zadeklarować, że nie wróci do Polski. Po takiej deklaracji przechodziło się do "Polish Resettlement Corps". Ci, którzy zdecydowali się na powrót szli do punktów zbarnych. Byli jednak i tacy, którzy nie chcieli się zapisać ani na wyjazd do Polski ani do Resettlement Corps. Z tymi mieli Anglicy najwięcej kłopotu.

W pierwszym okresie, gdy były organizowane zbiorowe wyjazdy na kontrakty do Kanady, odrzucono mnie na badaniach lekarskich. Orzeczenie mówiło, że jestem za nerwowy. Było to wynikiem mojej reakcji w czasie badania. Ustawiano nas w szeregu "na Adama". Najpierw oglądano mięśnie. Kazali napinać mięśnie, oglądali na plecach i z frontu, w przysiadzie. W tych oględzinach chyba dość dobrze wypadłem. Natomiast zareagowałem gwałtownie w momencie, gdy jeden z lekarzy wypchnął za drzwi oficera, który w tym czasie wszedł do pokoju. Będąc w wojsku, miałem w naturze poszanowanie mundurów. Mam w mojej naturze taką wyrazistą buzię, że jak mnie coś "sieknie", to z miejsca poznać. Lekarz zauważył tę moją reakcję, odsunął na bok i nakazał specjalne badania, po których stwierdził, że jestem za nerwowy na Kanadę.

Kolega Jakubowicz i Jankowski rozpisali do wszystkich portów rybackich ogłoszenie, że trzech "doświadczonych" rybaków poszukuje pracy. Wpisali mnie również na tę listę, bez mojej wiedzy. Przyszła odpowiedź z firmy rybackiej, że gotowi są nas przjąć. Przewotowano nam papieru demobilizacyjnego. Wcale nie miałem zamiaru się

tak łatwo zdemobilizować. Wytłumaczyłem oficerowi, że to był nieprzemyślany kawał kolegi Jakubowicza, że ja w życiu ryby nie łapałem i muszę się nad tym poważnie zastanowić. Postanowiłem spróbować, jeśli dostanę bezterminowy urlop. Zgodzono się na ten warunek. Poszliśmy na stację werbunkową. Każdy z nas zaciągnął się na inny statek. Nie chcieli widocznie mieć razem całej grupki.

Mój pierwszy trawler nazywał się "Ejbich". Zapisalem się jako "brassy". Do obowiązków należało czyszczenie wszystkich części z mosiądzu, stąd "brassy" (mosiądz). Dostawało się połowę wynagrodzenia. Po wypłynięciu na łowisko, jeden z "deckhandów" (pokładowych) ciągnąc nieostrożnie linę obciął sobie cztery palce. Odwieźli go do najbliższego portu w Szwecji. "Skipper" nie chciał czekać na uzupełnienie z portu i zapisał mnie na "deckhanda". Był dobry połów, dostawaliśmy wyższą stawkę, bo było nas mniej. Umówiliśmy się z Jakubowiczem i Jankowskim, że spotkamy się po powrocie do portu. Zarobiłem wtedy 47 funtów szterlingów. Normalna stawka wynosiła 4,5 funta tygodniowo, była to więc duża suma. Tymczasem moim dwom kolegom powiodło się gorzej. Jednego "ciupasem" wysadzili w Szwecji, a drugi po powrocie do portu, całował ziemię i przyrzekał sobie, że nigdy jego stopa na statku rybackim nie postoi.

Wziąłem urlop, pojechałem do pułku i poprosiłem o przeniesienie do cywila. I tak zakończyłem swoją roczną karierę rybacką. Wyjechałem do Kanady na indywidualne zaproszenie farmera z Braintree, które uzyskał dla mnie kolega Wawrzyńczyk. Muszę przyznać, że widoki z pociągu na trasie z Halifaxu do Winnipegu nie zachwycały mnie. Na dworcu w Winnipegu czekali na mnie koledzy Franio Wawrzyńczyk i Adam Mossakowski.

Zdobycie pracy było jednym z pierwszych zadań jakie czekały mnie po przyjeździe. Praca na farmach mnie nie interesowała. Również nie pociągała mnie praca na kolei w Canadian Pacific Railway. Pozostawała praca w lasach. Trzeba być drwalem "lumber jack"-iem aby poznać kanadyjskie życie. Pracuje się tam w zimie i jesienią. Jesienią walczyć trzeba z czarnymi muszkami. Na wiosnę wraca się do miasta. Zawód drwala kanadyjskiego jest niebezpieczny. Zarobki są dobre i łatwo przyzwyczać się do tego specyficznego stylu życia. Można odłożyć sporo pieniędzy, z którymi przyjeżdża się do miasta. I tak, jak ciężko się pieniądze zarabiał, tak lekko można je było puścić. Drwale piją, rozbijają się taksówkami i na następny sezon jadą z powrotem do lasu. Szczęśliwie nie wpadłem w ten tryb życia, bo byłem drwalem tylko przez jeden sezon. Pierwszą zimę przepracowałem w Minnesota Pulp and Paper Co - w Mando, przy wyrębie lasów w okolicy Flandes. Dostarczaliśmy papierówki. Zarabiał się względnie dobrze na akord. Praca była ciężka, szczególnie dla Frania Wawrzyńczyka, który był raczej drobnej postury. Nigdy nie przypuszczałem, że przy 30-tu stopniach poniżej zera można pracować tylko w koszuli. Parkę zrzucało się i pracowało się w specjalnej flanelowej koszuli z podwójnym materiałem na plecach. Ta druga warstwa, okazało się, była bardzo potrzebna, bo tworzyła się na niej skorupa lodu. Zapuściłem sobie brodę i wąsy. Szwed nadzorca radził mi zgolić ją. Nie posłuchałem jego rad. Później dopiero zrozumiałem ich sens. Oddychając na dworze tworzyła się między wąsami a brodą mocna warstwa lodu, która uniemożliwiała wręcz jedzenie. Przyznałem mu rację i chciałem brodę zgolić. "Nie waż się" odpowiedział mi na to. Pozbawienie w takiej sytuacji brody groziło bowiem natychmiastowym odmrożeniem twarzy. I tak musiałem cierpieć moja broda przez resztę zimy.

Jedyną osiągalną pracą po powrocie z lasu była praca przy tynkowaniu ("plasterman"). Dostałem się do tynkarza Urbanowicza. Praca była dość ciężka, ale dość dobrze mi to wychodziło. Majster pozwalał mi próbować robić na własną rękę. Ale tynkarstwo jest też tylko sezonową pracą. Spotkałem kiedyś w bibliotece Kazia Chmielowicza, który wciągnął mnie do firmy, wyrabiającej sprzęt rolniczy, bronny grabiarki, rozpylacze. Właścicielem firmy "Inland Steel" był kapitan armii kanadyjskiej, ranny w I-ej wojnie światowej. Poczł on sentyment dla weteranów z II-ej wojny i po kilku dobrych doświadczeniach z kolegami z SPK, którzy pracowali rzetelnie i wydajnie, otwarcie powiedział, że woli zatrudnić weteranów Polaków, niż kogokolwiek innego. I w taki sposób rozpoczęła się obsada tej firmy Polakami. Przepracowałem w niej z górą 30 lat. Zacząłem od najniższej stawki 65 centów na godzinę. Zacząłem od składania bron. Menadżerem w tej firmie był również Polak, porucznik II-go Korpusu. Stara załoga fabryki składała się przeważnie z Ukraińców, nie bardzo chętnie patrzyła na to, żeśmy rzetelnie pracowali. Chcieli się nas pozbyć do tego stopnia, że uciekali się do pewnego rodzaju sabotażu (np. rozregulowywali maszyny i robili cały szereg innych drobnych kawałów). Myśmy się jednak zorientowali i nie trwało nawet trzy lata, gdyśmy opanowali sytuację w fabryce. Coraz więcej było polskich "formanów". Po pięciu latach pracy wezwano mnie do biura i zaproponowano wysłanie na wieczorowy kurs kreślarski. Po kursie awansowali mnie na wydział inżynieryjny, gdzie robiłem rysunki techniczne przez 8 godzin dziennie. Po następnych trzech latach przeniesiono mnie już na miesięczne wynagrodzenie. Spotykałem się w tej pracy z wykształconymi inżynierami z innych większych firm, takich jak "John Deer", którzy mieli trzy razy tyle inżynierów ilu u nas było wszystkich pracowników. Czuję się skrępowany, ale dawałem sobie jakoś radę. Syn właściciela, który skończył wydział inżynieryjny został przysłany na mój oddział i ja miałem być jego bezpośrednim przełożonym. Nie chciałem się na to zgodzić. Po wielu latach syn poszedł do Forda na praktykę i po powrocie stamtąd objął wreszcie oddział inżynieryjny. Tak wytrzymałem w tej pracy przez 35 lat i wreszcie poszedłem na emeryturę a moją funkcję, jak mi powiedziano, przejmie już komputer. Kierownikiem personalnym w fabryce był kolega Staszek Kmiec. Przez niego załatwiano się przyjmowanie Polaków, również w okresie przyjazdu ostatniej Solidarnościowej fali. W wielu wypadkach przyjmowało się ludzi, którzy świeżo przyjeżdżali z Polski bez znajomości języka. W kartotekach znalazłem 87 nazwisk Polaków przyjętych bezpośrednio po przyjeździe z Polski, takich którzy szukali pierwszej pracy. Nawet księża z parafii św. Ducha, szukając pracy dla przyjezdnych dzwoniли "do Gardziejewskiego". I do dziś dnia pracuje tam pokaźna liczba Polaków. Często pracował ojciec i syn.

Nigdy nie miałem żyłki do operacji finansowych. Mój dom kupił dla mnie Kazio Kowalyszyn. Inny kupował dla mnie samochód. Nie oglądałem nawet domu, który Kazio dla mnie wyszukał. Kupiłem dom i rozbudowałem go. Poznałem w międzyczasie w bibliotece panią, doszło do małżeństwa. Potem córeczka i druga córeczka, piesek, bo żona lubi pieski. Na końcu jestem ja. Córki się wychowało, wykształciło. Obie skończyły studia uniwersyteckie.

Praca zawodowa oraz rodzina były ważnymi elementami w kanadyjskim etapie mojego życia. Pozostawiały one jednakże sporo miejsca na zainteresowania społeczne. Koleżeńskie więzy zadzierzgnięte w czasie wojny, okazały się nadzwyczaj silne i od pierwszego dnia mego pobytu w Winnipegu włączyłem się czynnie w działalność Stowarzyszenia Polskich Kombatantów. Pełniłem różne

funkcje w zarządzie, a przez dwie kadencje, w latach 1984-1986, byłem prezesem Koła Nr 13 i z satysfakcją wspominam ten okres. Praca w organizacji wśród kolegów, z którymi dzieliło się trudy niebezpieczeństwa wojny pochłonęła mnie całkowicie. Dlatego końcową część moich wspomnień dotyczy już tylko działalności organizacyjnej związanej z SPK.

Już w dniu przybycia do Winnipegu odbywała się zabawa organizowana przez Koło SPK Nr 13. Wszyscy moi koledzy z Ułanów Karpackich przyszli na tę zabawę, a było ich 19-tu. Było to moje pierwsze zetknięcie się z SPK. Wkrótce zostało zwołane roczne Walne Zebranie Koła Nr 13. Przeniesiono mnie formalnie do tutejszego Koła na podstawie legitymacji z SPK w Anglii. Franio Wawrzyńczyk był wtedy sekretarzem. Na zebranie przyszło chyba ze 17-tu członków. Na początku było ich 450-ciu, gdy większość była jeszcze na kontraktach. Potem się to wszystko rozeszło. Pamiętam rozmowy przy piwie, z których wynikała niechęć do organizacji: "znów chcą mieć na nowo ewidencje!". O oficerach wyrażano się często z przekąsem jako o "polskich panach". Kompleks ten pokutuje jeszcze do dziś dnia, a "ewidencja" była niechętnie wspomnianym słowem. Z czasem się to zmieniło.

Zostało więc 17-tu członków. Jeden z założycieli Koła, czynny bardzo w fazie organizacyjnej, kolega Stanisław Ilkow, udowodniał na zebraniu, że właściwie nie ma już potrzeby kontynuowania organizacji i należałoby ją rozwiązać. Zaszokowało mnie to. Wypowiedziałem się zdecydowanie przeciw rozwiązaniu Koła. Znalazła się grupka kolegów, którym to trafiło do przekonania i Koło przetrwało ten kryzys.

Dokooptowali mnie do Komisji Rewizyjnej, żeby sprawdzić książki kasowe. Adam Żurad był wówczas skarbnikiem. Pamiętam, że wszystkie zapisy dochodów i rozchodów Koła mieściły się na jednej stronie. Nie trudno było je sprawdzić. Zabraliśmy się do roboty. Uporządkowaliśmy bibliotekę. Z przydziału z Londynu dostaliśmy książki do biblioteki, oprawialiśmy je w pakunkowy papier. Powstało kółko amatorskiego teatru. Przekonaliśmy się szybko, że istnieje pewnego rodzaju lokalny patriotyzm wśród Polonii. Ktoś, kto związany jest z Towarzystwem św. Jana Kantego nie przychodził na przedstawienia do Sokoła i odwrotnie. Dlatego dawaliśmy przedstawienia kolejno we wszystkich salach. Ceny były bardzo przystępne i co trzy miesiące dawaliśmy nową sztukę a w międzyczasie, podwieczorki przy mikrofonie. Trzeba było mieć co tygodnia jakiś program. Zainteresowanie tą akcją wzrastało. Ludzie zaczęli się spotykać w bibliotece. Urządzaliśmy zabawy w salach różnych stowarzyszeń. To zaczynało przynosić dochody. W krótkim czasie działalność Koła ożywiła się to tego stopnia, że zaczęto myśleć o zakupieniu własnego domu.

Franio Wawrzyńczyk powrócił z robót leśnych wcześniej do Winnipegu. Wspólnie z Mossakowskim i dwoma innymi kolegami wydzierżawili restaurację w Empire Hotel. Okazało się, że to był pierwszy, nieoficjalny lokal Koła Nr 13. Właściciel pozwalał wykorzystywać salę na miesięczne zebrania informacyjne jeśli nie była wynajęta. W tym czasie prezesem Koła był kolega Malatyński. Doszliśmy do przekonania, że potrzebny jest nam własny lokal. Nie odpowiadały nam standardowe hale większości polskich organizacji w Winnipegu, duże, o wysokim pułapie, ze sceną i malowidłami wodospadów. Powstała koncepcja, aby zbudować klub i salę podobną jak ta w Empire State Chateau. Początkowo rozpatrywało się możliwość wejścia

do polskich organizacji jak "Jan Kanty" czy "Sokół", czy "św. Duch". Okazało się, że te organizacje, niewątpliwie potrzebne w okresach pionierskich, zaczynały, w miarę upływu czasu, słabnąć. Liczyły bardzo na to, że przyjazd weteranów zapewni im dopływ nowych członków. Były na ten temat dyskusje i zachęcaliśmy kolegów do zapisywania się do tych organizacji. Wielu dołączyło do "Sokoła". Miało to dodatni wpływ, później, przy organizowaniu Kongresu Polonii Kanadyjskiej.

Niektórzy myśleli o zbudowaniu, z innymi organizacjami, wspólnego domu polonijnego. Wiele przeprowadzono na ten temat rozmów. W końcu doszliśmy do wniosku, że musimy sami zbudować swój własny dom. Gdy fundusze pochodzące z przedstawień i zabaw doszły do 2000 dolarów, zaczęliśmy się rozglądać za nadającym się miejscem. Wacek Kuzia, który zrobił karierę w budownictwie, odgrywał w tym ważną rolę. Zadatkowaliśmy stary sklepik na rogu Inkster i Main Street. Obok była wolna parcela budowlana. Nasze dwa tysiące wystarczyły na zadatek, ale aby sfinalizować kupno potrzeba było znacznie więcej gotówki. Postanowiliśmy zorganizować wewnętrzną pożyczkę, bezprocentową, minimum 100 dolarów. Pierwsze zebranie Koła odbyło się w tym sklepie. Po wyjściu z zebrania, zauważyliśmy na pobliskim sklepie meblowym wywieszkę: "for sale". Sklep miał od ulicy największą w Winnipegu szybę wystawową. Był niewątpliwie dużo lepszy, niż ten nadzwyczaj skromnie wyglądający, zadatkowany sklepik. Obok była również wolna parcela budowlana. Kuzia wdrapał się na parter i przeprowadził inspekcję budynku. Następnego dnia, przy pomocy mecenasa Dubieńskiego wycofaliśmy zadatek na sklepik i zdecydowaliśmy się kupić sklep meblowy. Nie mieliśmy jednakże potrzebnej do budowy gotówki. Chodziliśmy we dwóch do poszczególnych kolegów, przekonując ich o konieczności pożyczki. Większość odpowiadała pozytywnie. Niektóre żony wyrażały sprzeciw, ale w końcu zebraliśmy 22 000 dolarów, sumę wystarczającą na zakup nowej posiadłości. Wacek Kuzia kierował skutecznie robotami. Pracowaliśmy wszyscy. Każdy, kto się pokazał w sali, z miejsca dostawał jakąś robotę. Nawet Lodzia-Michalski, który nie miał specjalnych zdolności do majsterkowania, wyspecjalizował się w prostowaniu gwoździ. Dziś to wygląda śmiesznie, ale świadczy o tym, że zapał udzielał się wszystkim i robota posuwała się naprzód. Pamiętam, że zaczęliśmy w sobotę o 10-tej tynkować salę i o godzinie 4-tej po południu robota była skończona. Starzy zawodowi tynkarze kręcili głowami z podziwem nad tempem pracy. Wszystko w tym czasie robiło się własnym przemysłem. Zatrudniliśmy architekta - żyda, któremu bardzo podobał się nasz entuzjazm. Nie wszystkim natomiast odpowiadały rozwiązania architektoniczne zaproponowane przez niego, ale w końcu, wszyscy się do nich przyzwyczaili. Uzyskaliśmy zezwolenie na prowadzenie piwiarni, która uważana była za najlepsze źródło dochodu. Tymczasem okazało się, że znacznie większe dochody przynosiła sala bankietowa.

W krótkim czasie inne organizacje polonijne zaczęły przebudowywać swoje hale wzorując się na naszym domu. Za sumy, które włożono w te rozbudowy można było oczywiście zbudować duży, reprezentacyjny dom polski, ale z różnych względów do tego nie doszło ani wtedy, ani do tej pory.

Stosunkowo szybko spłaciliśmy wszystkie długi. Można było zacząć wydawać pieniądze na akcje społeczne, nie prowadzone w innych organizacjach. "Trzynastka" wysunęła się na czoło w Kołach SPK w Kanadzie. Jedną z działalności SPK była opieka nad Harcerstwem. Tradycje harcerskie w Winnipegu są dość stare. Naszym zadaniem było wznowienie tych tradycji. Dr Andrzej Gutkowski, który

kończył studia medyczne w Irlandii, zebrał nas, starych harcerzy i zmobilizował do pracy. Otrzymaliśmy 4 akry nad jeziorem Big Whiteshell z przeznaczeniem dla pracy młodzieżowej. Wiele było dyskusji nad formą pracy młodzieżowej. Byli koledzy, którzy uważali, że będąc w Kanadzie powinniśmy zapomnieć o harcerstwie a raczej wprowadzić skauting. Na tym tle nastąpił rozłam między zwolennikami kanadyjskiego legionu a zasadniczą grupą, która została wierna Kołu Nr 13. Po latach można z przyjemnością zauważyć, że te zapalne punkty przeszły raczej do historii. Z grupą, która się kiedyś odłączyła od SPK i stworzyła oddział Kanadyjskiego Legionu Nr 264 utrzymujemy teraz przyjacielskie stosunki.

Harcerstwo rozwijało się dynamicznie, korzystając z naszych zagospodarowanych terenów i z poważnych zasobów finansowych. Organizowało się corocznie obozy, ogólnokanadyjskie zloty, przyjeżdżała tu do nas młodzież, zarówno ze wschodu jak i zachodu Kanady. Mamy wychowanków harcerskich, którzy zajmują poważne stanowiska w Winnipegu. Podobnie opiekujemy się i finansujemy grupy taneczne. Uważamy, że jest to pożyteczna działalność, bardziej atrakcyjna dla dzieci niż inne formy oddziaływania na ich polską świadomość.

Według statutu SPK siedzibą organizacji jest Toronto. Jednakże wiele inicjatyw i aktywności organizacyjnej powstaje poza Toronto. Według mojej opinii, SPK nie jest organizacją weteranów a raczej organizacją społeczną, założoną przez weteranów. Świadczą o tym poprawki w statucie umożliwiające wstąpienie do organizacji również nie weteranom, którzy zgadzają się z założeniami ideowymi SPK. Zdaję sobie sprawę, że nie możemy oczekiwać gremialnego wpisywania się nowej fali emigrantów do naszej organizacji. Mam jednak nadzieję, że po pierwszym okresie organizowania sobie życia w nowym kraju, gdy odczują potrzebę pracy społecznej, zechcą włączyć się w nurt organizacyjny, zachowując swoje odrębne cele i tożsamość. Dlatego jestem spokojny o przyszłość wierząc, że: "Nie było nas, był las, nie będzie nas, będzie las."